

# WIEŚ

tygodnik społeczno-literacki

Rok VI

Warszawa, dn. 13 listopada 1949 r.

Nr 46 (225)

## W NUMERZE

J. K. MACIEJEWSKI — Wesele współczesnego Boryni  
St. TREUGUIT — Goethe a Niemcy dzisiejsze  
St. MARCZAK-CBORSKI — Wies Janków Muzykantów  
S. ARNOLD — Lenin i partia  
L. SOBIERAJSKI — Lipce Reymontowskie  
M. OSTROWSKI — Jak hartowała się stal  
Fr. HALAS — Wiersze

## Redakcja „WSI” ogłasza

# KONKURS na REPORTAŻ

Wies nasza znajduje się dzisiaj w okresie wielkiego przełomu. Zachodzą w jej życiu gospodarczym, społecznym i kulturalnym głębokie przemiany. Przemiany te dokonują się z trudem, bo w ciężkiej walce klasowej. Drobną i średniorolną chłopstwo w dążeniu do uspołecznionej gospodarki (spółdzielnie „Samopomoc Chłopska”, ośrodki maszynowe, grupy plantatorów i hodowców), w parciu do oświaty i kultury (około czterech tysięcy świetlic Z.S.Ch., zespoły amatorskie, samokształceniowe, 20.000 punktów bibliotecznych, wzrost zainteresowania prasą i książką, około 750 szkół rolniczych, około 100 gimnazjów chłopskich, 44 uniwersytety ludowe, podnoszący się z roku na rok procent młodzieży chłopskiej obok robotniczej w szkolnictwie średnim i wyższym), w swoich próbach tworzenia lepszych, racjonalniejszych form gospodarowania (pierwsze w tym roku spółdzielnie produkcyjne) — natrafia w swoich wysiłkach przebudowy ustroju na duże opory ze strony kapitalistycznych elementów wczorajszej wsi.

Ustrój kapitalistyczny utrwalił na wsi autorytet bogacza wiejskiego, ten autorytet potwierdziła i literatura burżuazyjna.

Dzisiaj jeszcze grupa bogatych chłopów, posługując się nimbem dawniej narzuconego biedocie wiejskiej autorytetu — stara się paraliżować wiele akcji gospodarczych czy kulturalnych, jakie dla ogólnej poprawy bytu wsi podejmują podstawowe masy chłopskie, znajdujące pełną pomoc i poparcie Państwa Ludowego.

Spółdzielczość w jej różnych formach, wzrost oświaty i podnoszenie się kultury na wsi, to szansa szybkiej likwidacji źródeł resztek kapitalistycznego wyzysku, który bogacze wiejscy stosowali i stosują jeszcze wobec drobną i średniorolną mas chłopskich. Element kulacki, w oparciu o reakcyjną część kle-

ru, prowadzi dzisiaj zażartą walkę o zatrzymanie tych procesów. Wystarczy przypomnieć niechętny stosunek niektórych wiejskich „plebanów” nawet do akcji likwidowania analfabetyzmu na wsi, wystarczy przypomnieć narzucanie opinii wiejskiej właśnie przez bogaczy i właśnie przez plebanów niechętnych ocen o książkach naszych postępowych pisarzy chłopskich, wystarczy wręczyć przypomnieć, że nawet teatr objazdowy „Artos”-u, przyjmowany na ogół z życzliwością i dużym zainteresowaniem przez wieś, natrafiał i na zdecydowaną niechęć chłopów, tam gdzie kulak jeszcze formował społeczną opinie.

### PISARZE!

Stojcie dziś wobec zadania nie tylko literackiego zapisu, dokonujących się na wsi przemian, stojcie również wobec zadania pisarskiej pomocy dla mas chłopskich, które w ciężkiej walce budują na swoim odcinku nowy ustrój, z n a j d u j ą c oparcie i pomoc w klasie robotniczej. Wasze pióro powinno pokazywać drobno i średniorolnym chłopom ich wroga klasowego, winno stworzyć w literaturze nowe wzory społeczne — działacza wiejskiego, winno za temat swojej twórczości wziąć te wszystkie instytucje, które dzisiaj na wsi powoli i z trudem przekształcają i formy gospodarowania, i świadomość społeczną i kulturalną podstawowych mas chłopskich.

Redakcja Tygodnika Społeczno-Literackiego „Wieś” apeluje zatem do wszystkich pisarzy: członków Związku Zawodowego Literatów Polskich, do pisarzy również, którzy dopiero próbują swojego pióra, zwraca się także do działaczy społecznych, oświatowych i kulturalnych tak chłopskich jak i robotniczych — o wzięcie udziału w Konkursie na reportaże o wsi.

Reportaże na konkurs, wyspecyfikowane tematycznie, winny przedstawić najistotniejsze zagadnienia wsi. W swoich najwybitniejszych pozycjach dadzą one książkę, która będzie obrazem dzisiejszej wsi — oto założenie konkursu.

### Nagrody:

|                                                                                     |           |
|-------------------------------------------------------------------------------------|-----------|
| I nagroda (Ministerstwo Kultury i Sztuki) . . . . .                                 | 200.000 „ |
| II nagroda (Ministerstwo Rolnictwa) . . . . .                                       | 150.000 „ |
| III nagroda (Centrala Rolnicza Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”) . . . . .          | 100.000 „ |
| 3 następne nagrody po 50.000,— zł. (Zarząd Gł. Zw. Samopomocy Chłopskiej) . . . . . | 150.000 „ |
| 2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Oświaty) . . . . .                        | 100.000 „ |
| 2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Lasów) . . . . .                          | 100.000 „ |
| 2 następne „ „ 50.000,— zł. (Ministerstwo Poczty i Telegrafów) . . . . .            | 100.000 „ |

Nagroda Z.S.Ch. zostanie przyznana za prace, które nawet przy mniejszych walorach literackich, wyróżnią się szczególnie klasowo słusznym ujęciem zagadnień dzisiejszej wsi.

Nagroda Ministerstwa Oświaty — za najlepsze prace, nadesłane przez pisarzy — nauczycieli wiejskich (prosimy autorów nauczycieli o zaznaczenie przy godle lit. N.).

### Tematy reportaży:

- |                                                                       |                                   |                                                                                           |
|-----------------------------------------------------------------------|-----------------------------------|-------------------------------------------------------------------------------------------|
| 1) spółdzielnia produkcyjna                                           | 9) świetlica na wsi               | a) ze względu na możliwości wewnętrzne wsi,                                               |
| 2) Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”                           | 10) likwidacja analfabetyzmu      | b) do miast (studia, zawody, przemysł)                                                    |
| 3) Koło gromadzkie — komórka podstawowa Związku Samopomocy Chłopskiej | 11) czytelnictwo na wsi           | 19) działalność organizacyjną politycznych i społecznych: P.Z.P.R., S.L., Z.S.Ch., Z.M.P. |
| 4) Ośrodek maszynowy                                                  | 12) zespół samokształceniowy      | 20) sport na wsi                                                                          |
| 5) Ośrodek zdrowia                                                    | 13) zespół amatorski              | 21) chłopski czyn na zjednoczenie ruchu ludowego (27 listopada 1949 r.)                   |
| 6) grupy plantatorów i hodowców                                       | 14) twórczość ludowa              | 22) ruch łączności wsi i miasta                                                           |
| 7) Państwowe Gospodarstwa Rolne                                       | 15) poczta na wsi                 |                                                                                           |
| 8) Współzawodnictwo pracy                                             | 16) kobieta wiejska dziś          |                                                                                           |
|                                                                       | 17) opieka nad dzieckiem wiejskim |                                                                                           |
|                                                                       | 18) awans młodzieży chłopskiej    |                                                                                           |

### Warunki konkursu:

Reportaż, zaopatrzonego godłem, winien być nadesłany Redakcji Tygodnika „Wieś” (Warszawa, pl. Starynkiewicza 7) w nieprzekraczalnym terminie do dnia 31 grudnia 1949 r.

W osobnej zamkniętej kopercie, zaopatrzonej na zewnątrz godłem, należy umieścić nazwisko i adres autora (niepublikujący dotychczas autorzy winni załączyć życiorys).

Reportaż nie powinien przekraczać 16 stron maszynopisu z interlinią.

Reportaż w miarę możliwości winien być uzupełniony materiałem fotograficznym lub graficznym (zdjęcia, rysunki) z opisywanej wsi.

Redakcja Tygodnika „Wieś” zastrzega sobie prawo pierwszeństwa druku nagrodzonych prac.

Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w numerze tygodnika „Wieś” z dnia 19 lutego 1950 r.

Nagrody będą rozdane dnia 18.II.1950 r.

### Skład Jury:

- |                                                                                |                                                                        |
|--------------------------------------------------------------------------------|------------------------------------------------------------------------|
| 1) Marszałek Sejmu — Władysław Kowalski                                        | 8) Z ramienia Polskiego Radia — Romuald Gadomski                       |
| 2) Autor „Stare i Nowe” — Lucjan Rudnicki                                      | 9) Z ramienia Zarządu Gł. Związku Samopomocy Chłopskiej — Stefan Ignar |
| 3) Z ramienia Min. Kultury i Sztuki — Jan Wilczek                              | — Bodalski Mieczysław                                                  |
| 4) Z ramienia Min. Oświaty — Władysław Ozga                                    | — Waclaw Schayer                                                       |
| 5) Z ramienia Min. Rolnictwa — Piotr Greniuk                                   | — Franciszek Jaszczuk                                                  |
| 6) Z ramienia Instytutu Badań Literackich — Stefan Żółkiewski                  |                                                                        |
| 7) Z ramienia Związku Zawodowego Literatów Polskich — Anna Kamińska-Spiewakowa | 10) Z ramienia Redakcji „Wsi” — Jan Aleksander Król                    |
|                                                                                | — Leonard Sobierajski                                                  |
|                                                                                | — Maria Żmigrodzka                                                     |
|                                                                                | — Wiesław Jażdżyński                                                   |

### Apel do wsi:

#### CHŁOPI!

Gdy w listopadzie i grudniu znajdują się u Was pisarze, rozmawiajcie z nimi z pełną ufnością, starajcie się odkryć im to wszystko, co Was nurtuje, przedstawcie osiągnięcia, radźcie o usunięciu trudności, zwracajcie swoje projekty lepszego zorganizowania życia w dzisiejszym ustroju.

Redakcja Tygodnika społeczno-literackiego „Wieś” zwraca się z prośbą do organizacji politycznych i społecznych o udzielenie wszelkiej pomocy pisarzom, którzy w miesiącu listopadzie i grudniu znajdują się na wsi dla zebrania materiałów do reportaży.

Zespół Redakcyjny Tygodnika

„W I E Ś”



Obraz Leokadii Kosieniak „Klub „Wieś Tworząca” w Zaliptu składa dar Prezydentowi R. P.”

LEOKADIA KOSIENIAK

## MÓJ ŻYCIORYS MÓWI O USTROJU

Mówi się dość dużo o sztuce ludowej, nie zawsze z sensem. Spotykałam się w czasopiśmie z artykułami i reprodukcjami omawiającymi twórczość rodzimej mojej okolicy a nawet moją własną, z wielkim i rzekomym znanstwem.

Zaden jednak artysta ludowy nie wyrzekł swego słowa. Oczywiście, że wielu z nich bardzo słabo włada piórem, nie mówiąc o sporym procencie analfabetów, ale prawdą jest również, że nikt im tego nie zaproponował. Mam wrażenie, że naukowcy starej daty niechętnie widzieliby usamodzielnianie się twórców ludowych i cnać mieć swego rodzaju monopol na wszelką mądrość w tym zakresie. A tu są sprawy pilne, które ci opiekunowie nasi przeocząją. Niech głos mój przerwie to milczenie, gdyż wieś powoli zaczyna świadomie tworzyć, w miarę jak dopływ książek i czasopism do świetlic wiejskich zaczyna budzić myślenie oraz świadomość klasową. Z chwilą likwidacji analfabetyzmu nawet najstarsi artyści wiejscy wezmą udział w świadomości w nowym życiu, na które składa się również kultura ludowa, a więc ich twórczość artystyczna.

Jestem dziewczyną wiejską o poziomie kulturalnym takim, jaki wyznaczało to ukończenie szkoły powszechnej za okupacji. W dawnych warunkach ustrojowych przeznaczeniem moim byłoby spadek do powrotnego analfabetyzmu i praca na roli, według utartych, przedpotopowych metod i tradycji. Ze stało inaczej, jest to prawie cudem, ale że nie było w tym cudu, należy wszystko opisać, bo to najdziwniejsze. A więc podaję swój życiorys:

Jestem młoda, mam dopiero sześćnaście lat. Od pierwszych chwil życia obcowalam ze sztuką ludową, bo chyba mało na świecie jest miejscowości bardziej uartystycznych, niż wieś Żalipie, w powiecie Dąbrowa Tarnowska. Tam, za naszych babek, narodziło się ludowe malarstwo ściennie, które rozstawiło Żalipie po całej Polsce, często mieliśmy i mamy tu gości z zagranicy. Nie tylko wnętrza izb, ale zewnętrzne ściany budynków mieszkalnych i gospodarczych zdobią tu kobiety w przeróżne wzory barwne.

Od najwcześniejszych chwil życia otaczały mnie kwiaty, malowane na ścianach, piecach, aha nawet suficie. Gdy sięgnę do najdalszych wspomnień, mających surową twarz jakiegoś świętego, namalowanego przez matkę na zwykłym papierze pakowym pedziłkiem z królewskiego ogona. O brazy świętych malowane przez matkę nie były podobne do oleodruków, choć były ich naśladowaniem, gdyż pozbawione były słodkiego rozmodlenia i kłiwiej piękności oblicza. Były twarde jak chłopska dola; tylko zestawienie barw i powódz kwiatów ożywiały obraz i nadawały dość ponurym malowidłom radosny nastrój wiary w zwycięstwo radości życia.

Mając lat siedem pojęłam tajemnicę matki i zaczęłam pomagać jej w malowaniu ścian, jak również zaczęłam malować pierwsze nieudolne „makatki” papierowe, a nawet „dywany” — duże arkusze lub dwuarkusze malowidła, umieszczane nad łóżkiem. Nasza wieś nie leży wzdłuż ulicy, domy tu są rozrzucone, kobiety mniej poświęcając czasu plotkom, znajdowały upodobanie w malarstwie. Oczywiście duża rolę odgrywała ambicja, rywalizacja, ale prawdziwym źródłem tej twórczości było upodobanie piękna, nawiązanie do mieszkania w izbach, które były dalszym ciągiem kwietnego kobierca pól i łąk. Oczywiście, każda z nas czuła, że co innego natura, a co innego dzieło. Nie naśladowano kwiatów, ale tworzone je z wyobraźni, starano się nawet unikać zbyt wyraźnych podo-

bieństw. Dobra artystka robiła kwiat kombinowany, dbając o sposób jego namalowania, to jest ładne urozmaicenie barw, a często i tematu, przez umieszczenie zwierząt, ptaków lub ludzi w środku jak gdyby altany kwietnej.

Oprócz malowideł na ścianie i papierze, tworzone tu od dawna wycinanki, ozdoby z szyszek i fasoli, wrzście uprawiano haft, potrzebny do zdobienia stroju ludowego, w który do tej chwili duża część ludności ubiera się odświętnie.

Podczas okupacji pomimo tysięcy trudnych warunków, malarstwo ludowe nie zanikło. Zbyt mocno odczuwaliśmy potrzebę pokrzepienia i rozpręczenia smory hitlerowskiego terroru. Śmieśniesz wyglądał gestapowiec na te malowane jak kaplice izby i pewno zdawał sobie sprawę, że stanowi tu obcy i wrogi szczegół. Oczywiście, że to nie rozbawiało go ale denerwowało, gdyż nie pozostawiało złudzeń co do polskości i kultury tej ziemi. Przyszło wyzwolenie. W czasie zwykłych porządków wiosennych kobiety malowały tym razem nie tylko izby ale i obejścia gospodarskie. Nawet zdobione kurniki i psie budy opowiadały o triumfie ładu i twórczego piękna. Dla mnie wyzwolenie Polski stanowiło duże przeżycie. Paculałam, że świat się zmienił, że co, oczekiwanego ale bardzo dotychczas mglistego, zaczyna wchodzić w normalny tryb życia. Zamiast troski o dobry schówek i odwiezienie na czas kontyngentu weszły w zakres moich zainteresowań takie odległe sprawy jak reforma rolna i odbudowa zniszczeń. Nie odrzucałam pojęciem szerokości wolności, obserwowałam ją przez wąską szparę gospodarskich trosk. Wyjechałam np. na Ziemię Odzyskaną aby kupić sobie potrzebne rzeczy, lecz po powrocie uświadomiłam sobie, że jestem przypisana do Polski, która jest rzeczą wielką. Uczułam również, że w twórczości wydobywać trzeba na jaw życie, bo to jest sprawą wolności, że człowiek siebie może „wypowiadać”. Dlatego też na konkurs zorganizowany przez TULRP namalowałam obok malowank z motywami kwiatów, również inne, całkowicie inne wsi (wrzesień 1939 r.), czasy hitlerowskiej okupacji, wejście Armii Radzieckiej.

Na konkurs, który kobiety przyjmowały z niedowierzaniem wreszcie nowy podatek — za sprawą kierownika szkoły w Podlipiu ob. Jana Grabca, który miał zaufanie, wieś nasza i sąsiednie: Pilcza Żelichowska, Kłyż, Samocice i inne, przybrały się odświętnie.

Przyjechało, wielu gości, zadziwiając całą wieś stosunkiem do nas, nadzwyczaj prostym i przyjacielskim. W konkursie na najpiękniejszą ozdobioną izbę, pomiędzy innymi moja matka dostała pierwszą nagrodę, oraz nagrodę za krzewienie sztuki ludowej. W konkursie na malowanki: matka, ja, a nawet młodszy brat Sławek, otrzymaliśmy pierwsze nagrody. W czasie wystawy naszych prac, która odbyła się w świetlicy wsi Podlipie, wezwał mnie jakiś znawca, podobno był to dyrektor z Warszawy i pytał dlaczego maluję w murawie takie duże kwiatki, kiedy w życiu omal ich nie widać. Odpowiedziałam zdumiona bardzo, że tak mi się lepiej podoba, ale nie byłam pewna siebie. Myślałam później: jak tu malować, kiedy chcą, żeby było tak jak się widzi; to nie ma sensu. Co jest ładne stawia się na planie. Obraz jest wytworem nie aparatu a człowieka, który wie jak ułożyć obraz, powiększyć czy pomniejszyć przedmioty w zależności

Dokończenie na str. 2-ej.



# MÓJ ŻYCIORYS MÓWI O USTROJU

(Dokończenie ze str. 1)

ności od ich wagi i barwności. Wiek-  
szosc z nich nalezy odrzucac — in-  
aczej wyjdzie z tego balagan. I jesli  
dzis ucze sie perspektywy, to uznaje,  
ze ludowa perspektywa, niewzrokowa  
ale tematyczna, w zaleznosci od ma-  
larskosci przedmiotu i jej uczuciowosci  
czy myslowej waznosci, jest rownie  
dobra, a nawet inteligentniejsza.

Widzialam natomiast, jak studenci  
z Akademii Sztuk Pięknych patrzac  
na obraz mój wystawiony na Wysta-  
wie Sztuki i Rękodzieła Ludowego w  
Warszawie, przedstawiający ptaka  
w locie ze stodoły na dach domu, mó-  
wili: „jakie to śmieszne” — ze ptak  
był większy od stodoły na tym sa-  
mym planie. A to nie dziwactwo,  
tylko w tego ptaka włożyłam swą du-  
szę, a stodoła to tylko znaczenie i po-  
wiązanie przypadkowe i określające,  
zeby ten ptak nie zjawiał się znikąd.  
A nie miałam interesu lubowania się  
w tej stodołę, bo w niej nie widzia-  
łam artystycznego celu. Jesli chce  
powiedzieć, że ktoś trzęsie jabłko dla  
Prezydenta, nie pokazuje jabłek spa-  
dających w tej wielkości, ale więk-  
szej; koszyk dziewczynki, która nie-  
sie te jabłka, chociaż stawiam go na  
plan pierwszy jest tak duży omal  
jak jabłko, spadające na planie  
dalszym. Pielgrzymi w stosunku do  
postaci Matki Boskiej są maluchy;  
ona stanowi w ich oczach cel i potęgę  
zdolną do ziszczenia wszystkiego; oni  
poddają się marzeniu o takiej pro-  
porcji. W tym widzę styl ludowy, ale  
nikt mnie nie zrozumie i muszę się  
dzis uczyć perspektywy na wzorze  
szafcienu, jak dziecko.

Pokorze, musiał doprowadzić do tego,  
ze pomimo likwidacji TUL-RP wy-  
stawa ta odbyła się w miesiacu  
kwietniu b. r. w gmachu Politechniki  
Warszawskiej. Dostaliśmy zaprosze-  
nie Związku Samopomocy Chłopskiej  
i przyjechaliśmy 5-ro jako delegacja,  
gdyż teraz nie ma tego zwyczaju, by  
wystawę otwierać tylko dla inteli-  
gencji miejskiej.

Miałam za swoje, gdyż na otwarcie  
przybyło dużo ministrów i Marszałek  
Sejmu Władysław Kowalski, który  
zatrzymał się przede mną i powie-  
dział, że należy wysłać mnie do szko-  
ły i to wyższej: „A jak nie załatwią  
te sprawy, to pisz do mnie”. Wszy-  
scy bardzo się mną interesowali, ale  
Marszałek najbardziej. Przed odjaz-  
dem On i Min. Dybowski przyjęli  
wszystkich delegatów, twórców ludo-  
wych obiadów w hotelu sejmowym.

Minister Podedworny zgłosił już  
nagrodę dla artysty ludowego, biora-  
cego udział w wystawie w postaci  
stałego stypendium. Jury wystawy  
przyznało tę nagrodę dla mnie, poza  
tym otrzymałam komplet farb olej-  
nych, jako dar Związku Zawodowe-  
go Artystów Plastyków. Szczęście  
zaczęło mi więc dopisywać z chwilą  
powstania Polski Ludowej i to nie  
głupio, tylko bardzo mądrze, ażeby  
rozwinęła swój talent i przyniosła  
coś społeczeństwu. Ja też bardzo się  
zaciełam i nabrałam takiej odwagi,  
że chociaż rodzice nie mi nie są w  
stanie pomóc, przyjechałam do War-  
szawy i wyszłam z ob. Pokorze, a-  
żeby dotrzymać swej obietnicy. Zło-  
żyłam podanie do Wyższej Szkoły  
Sztuk Plastycznych, ale wszyscy się  
śmiali ze mnie i ja miałam słabą na-  
dzzieję zdania egzaminu. Ale cud nie  
tam stał, bo teraz rządzi chłop i ro-  
botnik, a każdy profesor wie, że chłop  
odrobił ma zamiekania i wziął ud-  
ział w tworzeniu nowej kultury pol-  
skiej.

Dzisiaj już ucze się — i myślę, że do-  
padzę tych, którzy mieli maturo, gdyż  
dużo słuchaczy lekceważył sobie pro-  
fesorów i naukę, nie wie, że nauka o  
sztuce przestała być zabawą małej  
ilości bogaczy, ale stała się potrzebą  
mas pracujących, że jest sprawą  
bardzo ważną, dla której warto pra-  
cować. Gdyby tak było miało, że obra-  
zy będą wisieć tylko w kościołach i  
muzeach, toby nie było może warto  
się dokładać do nauki, ale będzie tak  
jak w Zaliupiu. Sztuka będzie tak po-  
trzebna, jak chleb.

Tworzenie ludowe w naszej okoli-  
cy są zadowolone, gdyż otrzymały  
nagrody pieniężne i książkowe, po-  
nadto miały otrzymać jako nagrodę  
ZSCh sumę 60.000 złotych na zale-  
żenie wzięte, oraz 25.000 złotych z  
Krakowa. W tym celu mam w Zaliupiu  
przyjaciół, posłuchajcie. Mój brat  
Slawek oraz koleżanka jak np. Bogu-  
czówna, Borkówna uczą się w Lice-  
um Sztuk Plastycznych w Krakowie.  
Niektórzy ludownicy smuć się tym  
odplywem młodzieży, i mówią że zgi-  
nie sztuka ludowa. Ale nie jest to  
prawda, bo my idziemy gromadą i  
będziemy się z sobą kontaktować, a  
jak zdobędziemy wiedzę to w kultu-  
rze utrwaliły to co najlepsze z na-  
szej kultury wsiowej, gdyż mamy ją  
w krwi i oczach współżycia z nią od  
dzieciństwa. Jeśli zaś — jak było na-  
troje i wszyscy malujemy, to i w  
naszej wsi twórców nie zbraknie.  
Tylko trzeba dalej iść tą drogą jaką  
już idzie Polska Ludowa.

Tak to, podając do druku życiorys  
zwykłej i prostej dziewczyny wiejskiej,  
można się dużo dowiedzieć o  
przemianach jakie zaszły, gdyż widać  
wyraźnie, że coś się zaczęło dziać do-  
piero wtedy, jak nastał ludowy rząd  
chłopsko-robotniczy. Tym sposobem  
wpadłam w sieć, która wyniosła mnie  
jak nie na studentkę, bez większego  
z mego strony bohaterstwa. To wszy-  
stko mam zamiar wymalować. Chcę  
malować przemianę, bo, rzecz arty-  
sty jest widzieć i kształtować życie,  
jakie się wywiera i powstaje.

Leokadia Kosieniak



Leokadia Kosieniak — Pielgrzymi

M. KAMMARI

# STALIN O ROZKWICIE KULTUR NARODOWYCH II\*)

Lenin uczył, że „celem socjalizmu  
jest, nie tylko zlikwidowanie rozczłon-  
kowania ludzkości na drobne państwa  
i wszelkiego odosobnienia narodów,  
nie tylko zbliżenie narodów, ale także  
ich zlanie się”. (Dzieła, t. 22, str. 135.  
Wyd. 4-te). Nie może to być jednak  
dokonać odrazu, w krótkim czasie,  
podkreślił Lenin. „Podobnie jak lud-  
ność może dojść do zlikwidowania  
klas tylko poprzez przejściowy okres  
dyktatury klasy uciskanej; tak i do  
nieuchronnego zlania się narodów  
ludzkości może dojść tylko poprzez  
przejściowy okres całkowitego oswob-  
dzenia wszystkich uciskanych na-  
rodów, tzn. ich wolności odierwania  
się” (j. w. str. 135 — 136).

Konkretyzując te tezę po zwy-  
ciście Wielkiej Socjalistycznej Re-  
wolucji Październikowej odnośnie za-  
gadnień taktyki partii komunistycz-  
nych, W. I. Lenin pisał, „Dopóki ist-  
nieją narody i państwa różnie  
między narodami i krajami — a róż-  
nice te będą się utrzymywały jeszcze  
bardzo, bardzo długo nawet po zrea-  
lizowaniu dyktatury proletariatu w  
skali światowej — jednolitość mię-  
dzynarodowa taktyki komunistycz-  
nego ruchu robotniczego wszystkich  
krajów wymaga nie usunięcia zróż-  
nicowania, nie zlikwidowania róż-  
nic narodowych (jest to absurdalne  
marzenie w chwili obecnej), lecz ta-  
kiego zastosowania podstawowych za-  
sad komunistów (władza radziecka i  
dyktatura proletariatu), które by  
prawidłowo (prawdliwie) przeobraziły  
postać tych zasad w szczegółach, pra-  
widłowo przygotowywały i przystoso-  
wywały je do różnic narodowych i  
narodowo-państwowych (Dzieła, t.  
XXV, str. 22).

„Z tych powyższych wynika, wska-  
zuje Stalin, że Lenin odnosi proces  
zamykania różnic narodowych i zla-  
nia się narodów nie do okresu zwy-  
ciństwa socjalizmu w jednym kraju,  
ale wyłącznie do okresu po zrea-  
lizowaniu dyktatury proletariatu w  
skali światowej t. zn. do okresu zwy-  
ciństwa socjalizmu we wszystkich  
państwach, skoro zostaną już zala-  
ne fundamenty światowej gospodarki  
socjalistycznej” (Dzieła, t. II str.  
346). Próba umieszczenia procesu za-  
mykania różnic narodowych w okre-  
sie zwycięstwa socjalizmu w jednym  
państwie, Lenin kwalifikował jako  
„absurdalne marzenie”.

Opierając się na tych wskazaniach

W. I. Lenina, tow. Stalin w swojej  
pracy „Kwestia narodowa a leni-  
nizm”, jak również w szeregu innych  
prac, a szczególnie w swoim referacie  
sprawozdawczym i reasumcji na XVI  
Zjeździe K. C. W. K. P. (b), demasku-  
je szowinistyczne teorie o możliwości  
zamykania różnic narodowych i języ-  
ków narodowych w jednym państwie,  
dowodząc, że wręcz przeciwnie w tym  
okresie następuje konsolidacja, roz-  
wój i całkowity rozkwit narodów i  
kultur narodowych, ale na narodo-  
wych podstawach historycznych, na  
zasadzie dyktatury proletariatu, ra-  
dzieckiego ustroju socjalistycznego.

Rozwijając dalej tezę Lenina, Sta-  
lin poucza: „Niesłuszny byłby sąd,  
że zlikwidowanie różnic narodowych  
i zamykanie języków narodowych na-  
stąpi odrazu po pokonaniu imperia-  
lizmu światowego, za jednym uderze-  
niem, w trybie ogólnych dekreto-  
w. Nie ma nic bardziej błędnego niż ta-  
ki pogląd. Próby, zmierzające do zla-  
nia się narodów drogą wydawania  
ogólnych dekreto-  
w, zagłuszenie sprawy oswobodze-  
nia narodów, pogrzebanie sprawy or-  
ganizacji współpracy i braterstwa  
narodów. Taka polityka byłaby rów-  
na polityce asymilacji”. (Dzieła, t. II,  
str. 347).

Tow. Stalin podkreśla, że „polityka  
asymilacji zostaje bezwarunkowo  
wyrzucona z arsenału marksizmu —  
leninizmu, jako polityka antyludowa,  
kontrewolucyjna, jako polityka  
szkodliwa”. (j.w.).

Polityka asymilacji jest to polity-  
ka wchłonięcia przemocą jednego na-  
rodu przez drugi, polityka stłumienia  
swobodnego rozwoju narodów, języ-  
ków i kultur narodowych.

Jest to polityka burżuazyjno-nacjo-  
nalistyczna, imperialistyczna, naw-  
skroś reakcyjna. Jest to polityka im-  
perialistów USA, Anglii i innych  
państw.

Tow. Stalin wskazuje, że polityka  
asymilacji, jako antyludowa i kontre-  
wolucyjna, skazana jest w końcu  
na nieuchronną klęskę i krach, gdyż  
„wiadomo, że narody i języki narodo-  
we wyróżniają się nadzwyczajną  
trwałością i kolosalną siłą przeci-  
stawiania się polityce asymilacji”.  
(Dzieła, t. II, str. 347).

Dowodzą tego niezliczone fakty hi-  
storyczne. Tak na przykład, turecy

asymilatorzy „najokrutniejsi ze wszy-  
stkich asymilatorów” setki lat me-  
czyli i dławili bałkańskie narody, nie  
osiągnęli jednak swego celu — znisz-  
czenia narodów bałkańskich, ponieś-  
li klęskę, zostali zmuszeni do kapitu-  
lacji. Carsey asymilatorzy i niemiecko-  
pruscy i austriacy germanizatorzy  
nie ustępujący im w okrucieństwie,  
ponad sto lat rozniali na części na-  
ród polski, persey i turecy asymila-  
torzy setki lat krążyli na kawałki  
mezczyli i niszczyli naród ormiański i  
gruziński — także jednak nie osią-  
gnęli swego celu. Anglo-amerykańscy  
asymilatorzy, którzy w ciągu setek  
lat uciskali i gniebili dziesiątki i set-  
ki plemion, narodów i narodowości  
Azji, Afryki, Australii i Ameryki,  
również ponieśli klęskę i będą zmu-  
szeni do kapitulacji przed jednolitym  
frontem wszystkich miłujących wol-  
ność narodów, podejmujących walkę  
o wolność i niezawisłość.

Tow. Stalin uczy partię komunisty-  
czną, że należy wziąć pod uwagę te  
wszystkie okoliczności, „aby praw-  
dliwie przewidzieć bieg wypadków z  
punktu widzenia rozwoju narodów  
bezpośrednio po pokonaniu imperia-  
lizmu światowego” (Dzieła, t. II, str.  
348).

Biorąc pod uwagę te okoliczności i  
doświadczenie rozwiązania kwestii  
narodowej w ZSRR, tow. Stalin wy-  
sława następujące wnioski. „Błędne  
byłoby rozumowanie, że pierwszy e-  
tap światowej fazy dyktatury prole-  
tariatu będzie początkiem zamykania  
narodów, języków narodowych, po-  
czątkiem tworzenia się jednolitego  
wspólnego języka. Naodwrot, pier-  
wszy etap, w czasie którego zostanie  
ostatecznie zlikwidowany ucisk naro-  
dowy, stanie się etapem wzrostu i  
rozkwitu dawniej uciskanych naro-  
dów i języków narodowych, etapem  
ugruntowania równoprawienia na-  
rodów, etapem likwidacji wzajemnej  
nieufności narodowej, etapem wpro-  
wadzenia i wzmocnienia internacio-  
nalistycznych więzów między nara-  
dami.

Dopiero na drugim etapie świato-  
wej fazy dyktatury proletariatu, w  
miarę tworzenia się jednolitej, świato-  
wej gospodarki socjalistycznej na  
miejscu światowej gospodarki kapi-  
talistycznej, — dopiero na tym eta-  
pie zacznie się kształtować coś w ro-  
dzaju wspólnego języka, tylko na tym  
bowlm etapie narody odczują ko-  
ńczącą się posiadania wspólnego, mię-

dzynarodowego języka równoległe z  
ich językami narodowymi, w celu u-  
dogodnienia stosunków i współpracy  
ekonomicznej, kulturalnej i politycz-  
nej. A więc na tym etapie języki na-  
rodowe i wspólny język międzynarodo-  
wy, będą istniały równoległe...

W następnym etapie okresu świa-  
towej dyktatury proletariatu, gdy  
światowy system socjalistyczny  
wzmocni się w dostatecznym stopniu  
i socjalizm wejdzie w byt narodów,  
kiedy narody przekonają się w prak-  
tyce o przewadze wspólnego języka w  
porównaniu z językami narodowymi  
— różnice i języki narodowe zaczę-  
ją zanikać, ustępując miejsca wspólnemu  
dla wszystkich językowi świato-  
wemu” (Dzieła, t. II, str. 348—349).

W tych wytycznych tow. Stalina  
odnotowana jest przyszłość narodów i  
języków narodowych po zwycięstwie  
komunistów na całym świecie, niesy-  
chanie jasno nakreślona została per-  
spektywa rozwoju narodów socjali-  
stycznych.

Jest zupełnie oczywiste, że tezy  
tow. Stalina posiadają ważne, decy-  
dujące znaczenie dla wszystkich nauk  
społecznych, dla filozofii, nauki o  
państwie, prawie, języku, teorii, lite-  
ratury, sztuki, kultury i dla prakty-  
cznej działalności partii komunisty-  
cznych we wszystkich krajach świa-  
ta.

W sprawozdaniu politycznym Ko-  
mitetu Centralnego na XVI Zjeździe  
WKP(b) tow. Stalin ostro i całko-  
wicie skrytykował szowinistyczne teorie  
Kautskiego w kwestii zanikania na-  
rodów, języków narodowych i kultur,  
demaskował teorie odchylenców w  
kierunku wielkomocarstwowego szo-  
winizmu, którzy wpadli w ręce Ka-  
utskiemu i dążyli w istocie rzeczy do  
likwidacji narodowych republik ra-  
dzieckich, narodowych języków i kul-  
tur.

Demaskując te nacjonalistyczne  
teorie tow. Stalin wykazał, że w okre-  
sie socjalizmu narody nie tylko nie  
zamykają ale wręcz przeciwnie, roz-  
wijają się i rozkwitają. Okres budo-  
wnictwa socjalizmu w ZSRR (a w  
następstwie i w państwach demokra-  
cji ludowej) jest „okresem rozkwitu  
narodowych kultur socjalistycznych  
w treści i narodowych w formie”.

Stalin mówił, że zafacane narodo-  
wości można włączyć do sprawy bu-  
downictwa socjalistycznego w sposób  
należący tylko poprzez rozwój kultu-  
ry narodowej, w formie i socjalisty-  
cznej w treści.

Wyrażenie się tego oznaczałoby  
pozostawienie narodów i ludów w du-  
chowej, politycznej i ekonomicznej  
niewoli reakcyjnych klas wyzyskiwa-  
czy.

„Wzrost i rozwój kultur  
narodowych w ramach dla zla-  
nia się w jedną wspólną kulturę  
z jednym wspólnym językiem.

Dialektyka leninowskiego ujęcia  
zagadnienia kultury narodowej po-  
lega na tym, że w warunkach dyktatu-  
ry proletariatu w jednym kraju po-  
winien nastąpić rozkwit kultur na-  
rodowych w formie i socjalistycznych  
w treści w celu zlania się ich w  
jedną wspólną socjalistyczną (w for-  
mie i treści) kulturę z jednym wspólnym  
językiem w okresie gdy proletar-  
tariat zwycięży na całym świecie i  
socjalizm zostanie ugruntowany”. (J.  
Stalin „Zagadnienia leninizmu”, str.  
426 — 427, wydanie 10-te).

Stalin podkreśla przy tym, że  
wspólnym językiem dla całej ludzko-  
ści po zwycięstwie komunizmu na cał-  
ym świecie będzie nie jakikolwiek z  
języków współczesnych, a język no-  
wy, który powstanie w procesie zla-  
nia się istniejących współczesnych ję-  
zyków w jeden wspólny język, w wy-  
niku długiego obcowania narodów na  
bazie jednolitej światowej gospodarki  
komunistycznej.

Demaskując lokalny nacjonalizm i  
odchylenie w jego stronę wewnątrz  
partii, J. Stalin wskazywał, że  
istota takiego odchylenia polega na  
dążeniu do oddzielenia się i zamknię-  
cia w ramach swojej narodowej sko-  
rupy, na dążeniu do zatuszowania  
przeciwieństw klasowych wewnątrz  
swojego narodu, na dążeniu do oderwa-  
nia swego narodu od ogólnego nurtu  
budownictwa socjalistycznego, „na  
dążeniu do ignorowania tego, co zbli-  
ża i łączy masy pracujące narodów  
ZSRR, i do zwracania uwagi tylko  
na to, co może je oddalić wzajemnie  
od siebie”.

Partia Lenina — Stalina prowa-  
dziła i prowadzi bezlitosną walkę z  
burżuazyjnym nacjonalizmem wszel-  
kiego autoramentu, jako narzędziem  
imperialistycznej reakcji, wychowuje  
masy w duchu proletariackiego inter-  
nacionalizmu, przyjaźni narodów, so-  
lidarności mas pracujących wszyst-  
kich narodowości w walce o komu-  
nizm.

Uwzględniając doświadczenie W. K.  
P. (b), a także doświadczenie walki  
rewolucyjnej w swoich krajach, brat-  
nie partie komunistyczne wzmacniają  
czułość mas w stosunku do burżu-  
azyjnego nacjonalizmu, wychowują  
masy pracujące w duchu proletaria-  
ckiego internacionalizmu, w duchu  
ściślego zespolenia i solidarności na-  
rodów wszystkich krajów wokół na-  
rodów ZSRR.

W. I. Lenin jeszcze w 1920 r. wska-  
zywał, że „nie wolno w obecnej chwili  
ograniczać się do samego uznania  
lub głoszenia zbliżenia mas pracują-  
cych rozmaitych narodowości, ale na-  
leży prowadzić politykę realizowa-  
nia najbliższego sojuszu wszel-  
kich kolonialnych narodowo-wyzwo-  
lencyjnych ruchów z Rosją Radziecką,  
określając formy takiego sojuszu  
zgodnie ze stopniem rozwoju komu-  
nizmu” (Dokończenie na str. 3)

\*) Bolszewik, Nr 6 (Skrót), pałtr  
„Wieś”, Nr 44.

STANISŁAW ARNOLD

# LENIN W WALCE O PARTIE

Budując podstawy polski socja-  
listycznej korzystamy z wieloletnich  
doświadczeń Związku Radzieckiego,  
z genialnych wskazań wodzów naro-  
dów radzieckich, a jednocześnie wo-  
dów rewolucyjnego ruchu robotni-  
czego na kuli ziemskiej — Lenina i  
Stalina. I pod tym względem nie  
ulegą żadnej wątpliwości, że należy  
podkreślić jeszcze — i jeszcze raz —  
obrzmięte znaczenie, jakie dla u-  
mocnienia i pogłębienia w naszym  
społeczeństwie ideologii socjalisty-  
cznej opartej na założeniach marksi-  
zmu-leninizmu, rekonim skutecznej  
budowy polski socjalistycznej —  
stanowi lektura krótkiego zarysu  
„Historii Wschodnioeuropejskiej Ko-  
munistycznej Partii (bolszewików)”.

Jest to książka — której nie wy-  
starczy przeczytać raz jeden. Wra-  
cać do niej trzeba stale, przy każ-  
dym nasuwającym się zagadnieniu  
zarówno teraźniejszości, jak i prze-  
szłości, obejmujące już więcej niż  
stulecie rozwoju ruchu robotniczego  
i walki z kapitalizmem w Europie, a  
więcej niż półstulecie rozwoju ruchu  
robotniczego na ziemiach polskich.  
Jest to książka, która w przedwznie  
subtelny sposób łączy metodę bada-  
nia historycznego, opartego na zało-  
żeniach materializmu historycznego  
z gruntownością i czytelnością zasad-  
niczych założeń teorii materializmu,  
pojmowaniem procesu historycznego,  
poznawaniem drogi, jaką należa-  
ło przebiec, aby osiągnąć jedyną w  
historii zwycięstwo — zwycięstwo  
socjalistycznej Rewolucji Październi-  
kowej, zwycięstwo ukształtowanego  
po r. 1917 ustroju socjalistycznego.

Nie chcę tu — rzecz jasna — pi-  
sać o samej książce, „recenzje” są  
jej niepotrzebne. Chcę wskazać tyl-  
ko na parę momentów, które łączą  
się z metodą ujęcia i rozpracowywa-  
nia materiału — a wiąże się bezpo-  
średnio z drogą, po której szedł ro-  
botniczy ruch rewolucyjny w Rosji.

Ten ruch powstał przed r. 1917 w  
związku z rozwijającym się kapi-  
talizmem — i nie wykazywał niekto-  
rych różnic w stosunku do innych  
krajów, pomijając kwestię pewnych  
różnic w rozwoju samego kapitali-  
zmu w Rosji w porównaniu z innymi  
krajami. Tak — było pewną różnicą,  
że mianowicie ten ruch osiągnął to,  
czego nie udało się zrobić klasie ro-  
botniczej w żadnym innym kraju:  
osiągnął zwycięstwo rewolucyjne,  
obalił u siebie kapitalizm, stworzył  
socjalizm. Ten wynik był rezulta-  
tem zasadniczej postawy, jaką za-  
jęła klasa robotnicza w Rosji,  
mianowicie postawy zdecydowa-  
nie i konsekwentnie marksistow-  
skiej, wprowadzonej i utrzymanej  
przez genialne kierownictwo i nie-  
spożyte twarzą wolę Lenina i jego  
najbliższych współpracowników.

Gdy czytamy pierwsze rozdziały  
„Historii W.K.P.(b)” — problem  
występuje od razu z całą wyra-  
źnością — wiąże się z pierwszymi  
wystąpieniami Lenina. Złotyłow  
ruch robotniczy w latach 80-ych nie  
ma kierownictwa ideologicznego, nie  
opiera się na zasadniczych zdoby-

czach Marksa i Engelsa. Marksizm  
nie mógł się rozwinąć w warunkach  
dominacji, a błędnych poglądów  
narodników, nie rozumiejących toku  
procesów historycznych, nie mógł  
także uzyskać należyte roli rewolu-  
cyjnej, gdy znaczna część ówczes-  
nych marksistów rosyjskich stała na  
gruncie izolacji rewolucyjnej prole-  
tariatu, nie uznając możliwości soju-  
su z obywatelnymi masami chłopstwa,  
dopuszczając raczej sojusz z libera-  
lną burżuazją. I tu zaczęła się walka  
Lenina o właściwe podstawy dla  
robotniczego ruchu rewolucyjnego w  
Rosji — walka trwająca aż do samej  
rewolucji. Pierwsze wystąpienia Le-  
nina rozbiły podstawę „narodników”,  
dalsze — miały na celu organizowa-  
nie ruchu robotniczego przez stwo-  
rzenie partii nowego typu — partii  
marksistowskiej, zwalczającej rewir-  
zionistyczne wpływy „ekonomistów”,  
nie uznających roli kierowniczej,  
świadomej ideologii marksistowskiej  
w ruchu robotniczym.

Od I Zjazdu Socjal-Demokratycz-  
nej Partii Robotniczej Rosji Lenin  
walczył o stworzenie jej programu i  
należyte organizację nowej partii.  
Jego podstawy ideologiczne dał  
w słynnej książce „Co robić”, wyda-  
nej w roku 1902, stwierdzając, że  
„bez rewolucyjnej teorii niemożliwy  
jest również ruch rewolucyjny”, zaś  
„rolę przodującego bojownika może  
wypełnić jedynie partia, kierowana  
przez przodującą teorię”.

Na tle wysuwanych przez Lenina  
hasel programowych wystąpił już  
w r. 1903 (na II Zjeździe S.D.P.R.)  
różnica między nim a grupami „eko-  
nomistów” i oportunistów zwanych  
oddziałem mienszewikami (w przeciwsta-  
wieniu do zwolenników Lenina —  
bolszewików). Pod względem orga-  
nizacyjnym podstawy nowej partii  
przedstawił Lenin (rozprawiając się  
ze swymi mienszewickimi przeciwni-  
kami) w broszurze p.t. „Krok na-  
przód, dwa kroki wstecz”, w której  
uzasadnił, że partia marksistowska  
jest oddziałem człowym, świadomym  
klas robotniczej — i dlatego  
musi być oddziałem zorganizowa-  
nym, kierowniczym. W walce o te  
założenia Lenin nie ustępował ani  
na krok swym przeciwnikom — i  
zakończył je w r. 1912, kiedy na  
konferencji w Pradze powstała So-  
cjal-Demokratyczna Partia Robotni-  
cza (bolszewików) Rosji z Leninem,  
Stalinem, Swierdłowym i innymi na  
czele.

Przygotowaniem partii pod wzg-  
lędem politycznym była książka:  
„Dwie taktyki socjal-demokracji w  
rewolucji demokratycznej”, wydana  
w lipcu 1905 r., a więc w czasie rewolu-  
cji, w której Lenin wykazywał  
różnice między rewolucją burżuazyj-  
ną a rewolucją socjalistyczną, for-  
mułował zasady taktyki marksistow-  
skiej w okresie przejścia od rewolu-  
cji burżuazyjnej do rewolucji so-  
cjalistycznej. Podstawowa myśl Le-  
nina było to, że proletariatu może i  
powinien być wodzem rewolucji bu-  
rżuazyjno-demokratycznej — i że  
może osiągnąć zwycięstwo, mając

sojusznika w klasie zamieszczonej  
w zwycięstwie rewolucji, mianowi-  
cie w chłopstwie. Według teorii  
hegemonia proletariatu w rewolucji  
burżuazyjnej przy istnieniu soju-  
zu proletariatu i chłopstwa powin-  
na być przerosną w hegemonię  
proletariatu w rewolucji socjalisty-  
cznej przy istnieniu sojuszu prole-  
tariatu i pozostałych mas pracują-  
cych i wyzyskiwanych, a demokra-  
tyczna dyktatura proletariatu i  
chłopstwa powinna być przygo-  
towana gruntu dla socjalistycznej dyk-  
tatury proletariatu.

Jak wiadomo — ta teoria znalaz-  
ła swe pełne zastosowanie po rewolu-  
cji lutowej z 1917 r. i doprowadzi-  
ła do całkowitego triumfu.

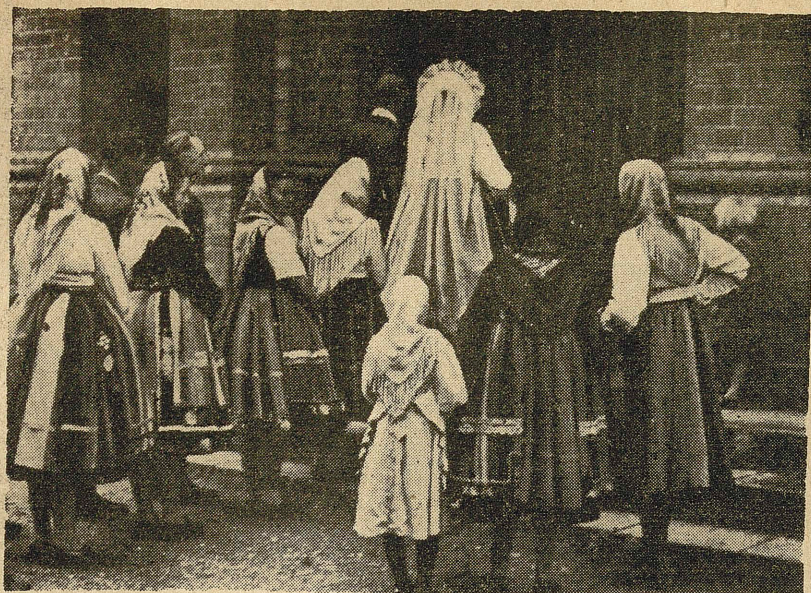
Wreszcie — przygotowaniem no-  
wej partii pod względem teoretycz-  
nym była praca Lenina p.t.: „Mate-  
rializm i empiriokrytycyzm”, wyda-  
na w roku 1909, rozprawiająca się  
z „krytykami” filozoficzno-teoretycz-  
nych podstaw marksizmu — i utr-  
dalała założenie materializmu dia-  
lektycznego i historycznego, jako  
teoretycznych podstaw partii ma-  
rkistowskiej.

Na gruncie tych podstaw organi-  
zowała się partia marksistowska w  
Rosji, na gruncie tych zasad kiero-  
wana ruchem klasy robotniczej w  
przeddzień rewolucji 1905, w czasie  
samej rewolucji i potem, w okresie  
reakcji stypolipnowskiej. Wybuch  
wojny imperialistycznej w r. 1914  
wykazał, że tylko partia bolszewi-  
cka, kierowana przez Lenina, za-  
jmowała jedynie konsekwentne, ma-  
rkistowskie stanowisko, gdy inne  
partie socjal-demokratyczne (zorga-  
nizowane w II Międzynarodówce)  
poszły za burżuazją innych krajów.  
W toku wojny w r. 1916 Lenin wy-  
dał pracę: „Imperializm, jako naj-  
wyższe stadium kapitalizmu”, w  
której stojąc na gruncie marksizmu,  
rozwinął jego teorię na okres im-  
perializmu, stworzył podstawy leni-  
nizmu, jako teorii i praktyki robo-  
tniczego ruchu rewolucyjnego w o-  
kresie imperializmu. Najważniej-  
szym wynikiem rozważań Lenina by-  
ło to, że imperializm — to przed-  
dzień socjalnej rewolucji proletaria-  
tu — i dalej genialny wniosek, że  
ze względu na nierówność rozwoju  
kapitalizmu w różnych krajach, jest  
niemożliwe zwycięstwo socjalizmu  
jednocześnie we wszystkich krajach,  
że socjalizm musi zwyciężyć naj-  
pierw w jednym lub kilku krajach,  
pozostałe zaś przez pewien czas  
jeszcze pozostaną burżuazyjnymi.

Ta nowa wykończona teoria re-  
wolucji socjalistycznej stała się pro-  
gramem działania partii bolszewi-  
ków w r. 1917 i dała jej zwycięstwo.  
A dziś obalone zostały podstawy  
ustroju kapitalistycznego w wielu  
krajach Europy i Azji — partie ro-  
botnicze tych krajów, stojąc twar-  
do na gruncie marksizmu budują po-  
stawy socjalizmu. Jakaż wielka jest  
droga odbyta od ostatnich lat w  
XIX wieku — zaczątku partii Leni-  
na, Stalina w Rosji — do dzisiejszej  
chwili.

Stanisław Arnold





Antosia ma szeroką twarz z cokolwiek kaczynym nosem, jest krepka, ma mocne nogi i pracowite ręce. Na weselu swego brata, Stefana, przybyła na księżką wieść z kopalni węgla na Dolnym Śląsku. Do dziś ma posiniaczone ręce, przed wyjazdem bowiem zdarzył się jej przykry wypadek: w zastępstwie chorej koleżanki przydzielono ją do wyjmowania numerków z naladowanych węglem wózków, wyjeżdżających na powierzchnię. Praca ta wymaga wielkiej uwagi i czujności, gdyż wózki nie czekają. Tymczasem Antosia zamyśliła się o weselu, człowiek na zwrotnicy zagapił się i wózek o mały włos nie zmiażdżył Antosiej dłoni. Dostała trzy dni zwolnienia i — ponieważ dobrze się złożyło, bo mogła wyjechać do domu.

Antosia i jej siostra, Michasia, biegają teraz jak wrzeczona między „piecem”, czyli kuchnią w niewielkiej budzie pośród podwórza, a stodołą, gdzie pracują obecnie rzeźnicy i chałupa, gdzie już jest trochę gości, w tej leżbie kilka osób z miasta.

Goście z miasta, to znajomi z Warszawy i krewniacy z Pomorza. Trzeba o nich pamiętać, gościć ich, by się nie nudzili i nie byli głodni. Jest niedziela, późne popołudnie, jutro rano ślub, o godzinie szóstej już przyjeżdżają muzykanci, a tu stercz, choć ziemia po prostu pali się Antosi pod nogami. Stoł w drzwiach i, myśląc o oczekującej ją robocie, jednym uchem przysłuchuje się rozmowie gości. Bierze w niej udział także wujek z Aleksandrowa pod Łodzią i chrzestny z tej samej wsi, co Antosia. Chrzestny podzielił sobie trochę, zwiesił nad stołem długi nos i ubolewa nad zanikaniem stroju i obyczaju wśród Księżaków.

— Antoska! Anto-siaaa!

Wzywano ją do stodoły, gdzie dwóch rzeźników przy pomocy brata Antosi, Czesława, paralo się przerabianiem na wędliny, czyli jak tu się mówi „na wyrób”, dwóch wieprz i dużego cielaka. Rodzina młodych liczyła się z przybyciem co najmniej półtorej setki gości, a to nie są przewielki. Ogólnie praktykuje się, że trzeba samej kielbas przygotować na głowę pół kilograma i jeden litr „czystej” na cztery osoby.

Mężczyźni żądali od Antosi światła, gdyż już zapadał zmierzch, uniemożliwiający pracę. Przyniosła im naftową lampę, słabe jednak jej światło było niewystarczające.

— Kabel, przynieście kabel — po-słyszala.

Stefan zakrzętnął się i po chwili przyniósł duży zwój kabla. Włączyli

## STALIN O ROZKWIECIE KULTUR NARODOWYCH

(Dokończenie ze str. 2)

nistycznego ruchu wśród proletariatu każdego państwa lub burżuazji — demokratycznego ruchu wyzwolenia klasy robotniczej i chłopów w krajach zacofanych lub wśród zacofanych narodowości”. (Dzieła, tom XXV, str. 287).

Oznacza to, że stosunek do ZSRR stanowi najwęższe kryterium dla określenia tego, kto jest prawdziwym socjalistą, komunistą, internacjonalistą, a kto jest tylko zamaskowanym agentem imperializmu.

Lenin i Stalin rozwijają i konkretyzują zasady proletariackiego internacjonalizmu w zastosowaniu do naszej epoki, demaskując jednocześnie wszelkich zamaskowanych agentów imperializmu w rodzaju titowców podających się za „socjalistów”, „komunistów”, „internacjonalistów”, w rzeczywistości zaś kroczących w awangardzie podlegających zbrodniczej wojny przeciw ZSRR i krajom demokracji ludowej.

Stalin, demaskując najgorszych wrogów socjalizmu, wrogów wolności ludów — trockistów, tych faszystowskich wyrodków ukrywających się pod sztandarem internacjonalizmu i rewolucji światowej, jeszcze przeszło 20 lat temu mówił: „*Revolucjonista jest ten, kto bez zastrzeżeń, bezwarunkowo, otwarcie i uczciwie, jest tajnych narad wojennych gotów jest bronić ZSRR, gdyż ZSRR jest pierwszym na świecie proletariackim państwem rewolucyjnym, które buduje socjalizm. Internacjonalista jest ten, kto bez zastrzeżeń, bez wahań, bez warunków, gotów jest do obrony ZSRR, ponieważ ZSRR jest bazą światowego ruchu rewolucyjnego i obrona i posuwanie naprzód tego ruchu są niemożliwe bez obrony ZSRR. Kto bowiem myśli o obronie światowego ruchu rewolucyjnego omijając i przeciwstawiając się ZSRR, ten kroczy przeciwko rewolucji, ten niechcący stacza się do obozu wrogów rewolucji*”. (Dzieła, t. 10, str. 51). Obroną ZSRR jest najwyższym obowiązkiem wszystkich internacjonalistów.

M. Kammari

JERZY K. MACIEJEWSKI

# WESELE WSPÓŁCZESNEGO BORYNY

— Bebenek, skrzypce i akordeon! Ale chłopaki tak zmęczone, że zaraz uwalili się spać!

Goście, ziewając, wstawali i szukali miejsca, gdzie by można dokonać porannej toalety. Antosia ustawiła na podwórzu dużą ciekącą miednicę, wyniosła liniany ręcznik i kawałek pachnącego mydła. Kobiety były skrupowane koniecznością mycia się publicznie, mężczyźni mieli trudności z gołębieniem się. Szczęściem domownicy, zajęci swoimi sprawami, mało na nich zwracali uwagi.

W oczekiwaniu na śniadanie, gość z Warszawy wyszedł na wiejską ulicę. Była to bita, porządnie utrzymana wysadzona topolami droga. Ścieżka między chałupami młodych była świeżo wysypana żółtym piaskiem. Bloto przed domem młodej było zasypane również. Po przeciwległej stronie drogi, w rzadkim sadzie kilku parobczaków układało podłogę do tańca. Zawadzając im młode wisienniki i dolne gałęzie jabłoni przycięli. — Uważaj, nie dziabaj! — wołała przylgająca się temu mała dziewczynka. — Dziabiesz i dziabiesz, wszystkie gałęzie poobcinasz!

— Podłóg, Franek — odezwał się jeden z braci młodego, Michał — jakiś kamień pod środek, bo pochyło. Ludzie pospają się na tańcu.

Na ulicy pokazała się młoda, dzwigająca wielką bańkę od mleka. Była ubrana po robocemu i miała pochmurną, zafierowaną twarz. Wyglądała staro. Myślała co będzie, jeżeli mgła nie pójdzie w górę i zacznie padać deszcz. Gdzie pocięli te chmury gości, która za chwilę zacznie się zjeżdżać? Mgła na świecie — smutek na sercu. Wczoraj wieczorem, gdy zaczął pokropić deszcz, chrzestna powiedziała:

— Takie to i życie wasze będzie: trochę pogody i trochę łez.

— Ona się roześmiała i nadrabiając minę, rzekła:

— A ja sobie tak myślę: jak Stefan będzie płakał — będę się starała go pocieszyć, śmiejąc się. I odwrotnie...

Wreszcie pokazali się muzykanci, a już i zajeżdżała pierwsza bryczka,

wyladowana weselnymi gośćmi. Muzyka zagrała marsza i gospodarz, wysiadając z bryczki, szedł ku muzykantom, wtykając jednemu z nich w kieszeń napiwek.

Młody prosił gości, przybywających z dalszej okolicy (niektórzy nawet spod Głowna) oraz gości z miasta do stołu na pierwsze śniadanie. Tymczasem młoda przy pomocy druhien przebrała się w strój łowicki — pyszny, dostatni i barwny. Jedynie zresztą kobiety, i to nie wszystkie, były ustrojone na księżką modłę. Ich pasiaki mieniły się całą gamą kolorów. Ale i tu obowiązywała moda. Barwa pomarańczowa w pasiach występowała jedynie u starych kobiet. Żadna z dziewcząt nie włożyła przed wyjściem. Obecnie przebrała jasną zieleń, biel i fiolet. Gorszy miały z czarnego aksamitu, suto haftowane, podobnie jak i dolny brzeg fartucha. Także i fartuch przecinał szeroki pas nasypanych szychowych świecidełek. Na szyi nosiły korale, głowę zdobiła cienka welina, w barwne kwiaty chustka. Kiedy stały tak przed chatą — kolorowe i puszyste — podobne były do gromadki egzotycznych ptaków, lub do kupy różnobarwnych malw, wyglądających spoza sztachet ogródka.

Mężczyźni natomiast byli z miejscami odziani i szarzy jak wróble. Zaledwie paru, najstarszych, miało na sobie księżackie, kragie a niskie kapelusze, spodnie zaś i lejki w pasy.

Jeden z nich, imieniem Hilary, weteran wojny rosyjsko-japońskiej, wyciągał gościowi z Warszawy ile jeszcze takich księżackich strojów kołaczę się we wsi, a szkoda — powiedział — bo tu przyjeżdżają różne takie z Warszawy i za wypóczenie można wcale dobrze zarobić...

Wreszcie młoda była ustrojona i w welonie, gotowa do wyjścia. Młody w towarzystwie starszego druhni i dziewcząt przybył do jej chaty. Stąd miał ją wyprowadzić na nową drogę życia. W zatłoczonej izbie stali po środku, płacząc oboje. Wiele kobiet popłakiwało również, ten zaś

i ów mężczyzna częstotliwie poruszał powiekami...

Przed chatą ustawiono stół, na nim krucyfiks, kropidło i świeconą wodę. Młodzi stanęli przed matką, nisko chyląc czoła, by ukryć zapłakane oczy. Michasia, która była starszą druhnią, przy pomocy swego druhni w najostatniejszej chwili wyciągała z kółka obecnych tych, którzy mieli być druhniami. Powstało krótkotrwałe zamieszanie, po czym wystąpił starszy druhnia i wcale gładko wygłosił krótkie, okolicznościowe przemówienie.

Wnet też zaczęły się przyspiewki. Zdumiewał brak słuchu u kobiet, in-tonujących te przyspiewki. Były to raczej jakieś krzykliwe zawołania, mające pewne wspólne cechy ze śpiewami na styple pogrzebowej. Młoda zresztą bynajmniej nie wyglądała na rozradowaną. Oczy miała podpułnięte od płaczu.

Najbardziej jednak przejmującą była chwila, kiedy tuż przed daniem znaku do wsiadania na bryczki, jedyna ze starszych kobiet zaśpiewała przenikliwym głosem:

„Już niedługo, niedługo pójdziecie przed oltarz, a nie zapomniacie po drodze wstąpić do ojców na cmentarz!”

Oboje bowiem młodzi byli pólśierotami.

Bryczka po bryczce zajeżdżała przed chatę i obławowane do granic możliwości ruszały w drogę do kościoła w Złakowie. Dzień był pogodny, ciepły. Po ostatnich deszczach kto żywy wyruszył w pole na podorywki i siebę, Antosia, jadąca na jednej bryczce z gośćmi z Warszawy, powiedziała półgłosem, wskazując na młodego:

— On z pewnością żałuje, że zamiast iść do siana, marnuje dzień na to weselisko! Gospodarz z niego dobry.

Ludzie we wsi wychodzili przed chaty, przylgając się korowodowi weselnemu. Na polu przystawali, zaprzestając roboty i długo patrzyli wśl.

Tu i ówdzie kopano kartofle. Paliła się sucha nacinana. Ku niebu cienką strużką wiał się błękitny dym. W nozdrza bił przenikliwy zapach. Gdzieś niedługo kartofliko było już zwłoczone. Pomiedzy spulchnioną ziemią białała wielka ilość pozostawionych ziemniaków. We wsi coraz powszechniej zamiast motyki stosowano rodzaj pułki do kopania kartofli, jeżeli jednak były nieco głębiej, zostawało ich bardzo wiele w ziemi. Nikt nie kwapił się z ich wybieraniem.

Ślub był uroczysty. Kościół był rzeźbiarstwem oświetlony, ksiądz odprawiał mszę św. Wprawione w ruch zepsute organy zanim wydały pierwszy ton, zgrzytały, sapły i warczały jak silnik starego samochodu.

Kiedy panna młoda kłęczała przed oltarzem, płomyk trzymanej przez nią świecy migotał słabo poprzez welon w trójkącie, utworzonym przez jej głowę i ramie.

Gdy bryczki zajeżdżały przed chałupę młodej, czekała już tam jej matka i niektórzy familiani. Witano młodych, podając młodej bochen chleba, młodemu zaś dziecie w powijkach. Przyjął je z zaktopotanym uśmiechem.

Na „deskach” w ogrodzie odezwała się muzyka i co młodzi puścili się w tany. W pierwszej parze — młodzi. Co starsi gospodarze posiadali na skraju przydrożnego rowu, podczas gdy kobiety jak gile obsiadły ustawione obok desek czyli podłogi ławki.

Matka młodego pozostawała zarówno od zabawy, jak i od przygotowań weselnych na stronie. Oficjalnie tłumaczono ją, że na krzątanie się i zabawę nie pozwala jej tusza i wiek podszedł. Ona sama nieprzeniknionym wyrazem twarzy nie zdradzała swoich uczuć, owszem, podkreślała, że dzieci ma już dorosłe, które wiedzą co czynią, ale w tej abstynencji wyczynało się dezaprobatę synowskiego wyboru. Niechętnie opuszczając granice swego podwórza i u młodej pokazała się tylko na tak długo, by ją tam dostrzeżono że była.

Gdy na jednej stronie drogi tańczono, po drugiej między chatą a stodołą trwała nieustanna bieganina. Na stodołę, na oścież otwarte, nakrywano ustawione w podkowie stoły, ściągając od wszystkich krewniaków i sąsiadów szkło i nakrycia stołowe.

Szwagier młodej, wysoki, czarny i szczupły mężczyzna, niosąc w obu rękach kopiaste talerze, wypełnione wędliną, obliczał w duchu, czy jadła i napitku starczy, aby Boże brzo, ludzie nie powiedzieli potem, że na weselu skąpiono.

Domownicy prosili gości do stołu. Miejsce, lepiej się orientujący w warunkach pomieszczenia, hurmem ruszyli do stodoły, która po chwili podobna była do ula na wyroju. Kiedy goście z miasta z ociąganiem zbliżyli się wreszcie do stołu, zdawało się, że nie było gdzie wetknąć szpilki. Powstało zamieszanie. „Ściśnijcie się! Ściśnijcie!” wołał dziesięć, ocierając spoczone, wysokie czoło i odgarniając rzadkie blond włosy.

Goście z miasta mieli siedzieć na przeciwko młodych, którzy też właśnie nadeszli. Stali teraz, zastanawiając się jak się przedostać na drugą stronę stołu. „Przez stół!” — doradzano jej. Weszła na ławkę, po tym na stół, który ugiął się pod jej ciężarem. Butelka z wódką z brzekiem upadła na talerz z ćwiką. Młody próbował przedostać się pod stołem, lecz zaraz się cofnął. Nie pozwalała mu na to jego godność ani to, że dziś

był najważniejszą tą osobą. Poszedł w ślady młodej, odciągając na zastępującym serwetę papierze brudny znak stopy.

Zaraz też zaczęły się przyspiewki. „A to czemu nie śpiewała, czy grabowe geby mata? Czy grabowe, czy dębowe, a do picia są gotowe!”

Gość z Warszawy, ściśnięty jak śledź w beczce między dwiema dziewczynami w welniach, nie mógł się prawie poruszać. Ławka była bardzo wąska, siedzenie więc i bez tego było niewygodne.

„A już Stefan jest po ślubie — śpiewano Postawcie mu kaszę z garnkiem — niech sobie dłużej!”

„Ławy obsiadło co najmniej sto dwadzieścia osób, nie licząc tych, co stali, nie mogąc dla się znaleźć miejsca. Nie czekając na zaproszenie, żwawo zabrali się do jedzenia. Poszły w ruch butelki.

„Płynie woda między lipy, a nasz młody nieumyty, nie chiał go żadna wdowa, tylko Jasiunia Sztynchowa!”

Jadła było w obfitości, choć wybór niewielki: kielbasa, pasztetowa, salceson, krwawa kiska, chleb ciemny i jasny, tzw. placek, sałata z pomidorów, kwaśne ogórki, ćwikła i musztarda. W tym nieopisanym tłoku czynność jedzenia wymagała wielkiej czujności i — wysiłku. Na nierównym powierzchni stołów i w tej ciasnocie kieliszki i czarki z wódką często się przewracały, budząc uolewanie biesiadników.

„Na weselu trzeba śpiewać, a nie siedzieć i nie ziewać, kto nie śpiewa, nie tańcuje, niech do domu powędruje!” — wydzierała się przeraźliwie jedna z druhien, która na weselu przyjechała z Pabianic, gdzie pracowała w apreturze. Była niezmordowana, jej zaś repertuar niewyczerpany.

Wtedy właśnie zjawiała się Antosia i stanowiący za gościem z Warszawy, podjęła z druhnią z Pabianic skrzekliwy duet. Zakrzykiwały się wzajemnie, podtrzymywane przez inne dziewczęta i kobiety.

„A ja nie taka głupia, jak moja mamusia, za kieliszek wódki wyszła za tatusia!”

Z różnych stron stodoły rozległy się tradycyjne okrzyki, że „wódka gorzka, gorzka!” Ale młodzi nie mieli zamiaru całować się publicznie. Siedzieli z pochylonymi głowami, sromając się rzeczywistości, czy też gwoili zwyciężają. Jedli bardzo mało.

„Wianka dowija, ale go nie ma — śpiewano — ładnego Stefka przy sobie trzyma, nikt go nie zabrał tylko jej pierścione! — Stęfio, co jej obiecał złoty pierścione! Pierścione! nie dał, wianek jej stracił, wianek jej zabrał — nie nie zapłacił!”

Po przekąsce wniesiono talerze i podano rosół, na kurach gotowany, następnie zaś i kury same, przypiekane, do tego kapuście i kartofle. Niektórzy, chcąc ułożyć do syta, wszystko przegrzali ciastem. Pito dużo i pito by jeszcze więcej, gdyby im chcieli naadażyć za tempem picia. Ale gości było półtorej setki, litr zaś wódki kosztuje osiemset zł! Więc choć wolano z różnych stron, że butelki próżne, ani szwagier, ani Antosia z Michasią nie kwapiły się z przyniesieniem nowych „litrow”.

„Oj kochanie, kochanie, gorsze od więzienia, z więzienia wyjść może — z kochania broń Boże! Oj da da!”

Gość z Warszawy, któremu te przyspiewki wykrykiwano tuż za uchem, marzył już tylko o tym, by wstać od stołu, zwłaszcza że do przyspiewki przylgająca się kapela, powtarzając przy każdej zmianie ten sam refren.

„Jedziecie, pijcie, używajcie, po kieszniach nie chowajcie, a bo zaraz po obiedzie — rewizja będzie!”

Przyspiewka ta, mająca z pewnością swą zwyczajową uzasadnienie, tym razem była zbędna, gdyż do kieszni trudno było się dostać. Jadło zniknęło z talerzy, stół pokrywał się plamami wylanych płynów, skórkami wędlin, ogryzkami chleba, kośćmi. Nikt nie ogładał się na sąsiada, śpiewając każdy na swoją nutę, przekrzykując się przez całą szerokość kieliska, obejmując, całując i świadcząc sobie słowa przyjaźni. Jeden z druhniów ciągnął Antosię, by śladła mu na kolana, oblatywał ją przy tym tak obcesowo, że opadała się od niego, jak od natrętnie muchy. Wreszcie odechnęła go, że aż się zatóczył i zaśpiewała przekornie:

„Moja matka dobra była, bo mnie robić nie uczyła, tylko śpiewać i tańcować, i chłopaka ucałować!”

Zebrało talerze, podając kompot. Kilku podpiętych parobczaków mimo ścisłego podroczu w górę spoczonego dziesięcia. Biesiada rozpręgała się coraz bardziej. Coraz to ktoś inny wymykał się ze stodoły. Gość z Warszawy poszedł w ich ślady. Muzykanci, ulokowani w ich na wozie, ustawionym obok „podłogi”, grali zwykle w tych stonach „kawałki”. Na deskach robiło się coraz bardziej tłoczno.

— I co dalej? — spytał gość z Warszawy Antosię, której nogi podrygiwały do tańca, choć jednocześnie oczy kleiły się ze zmęczenia.

ANNA KAMIENSKA

## REPORTAŻ Z WESELA

Reportaż Jerzego K. Maciejewskiego, który zamieszcza, jest ostatnio jedyną badającą próbą uchwylenia w języku literackim fragmentu żywego dotąd na wsi elementu dawnej kultury ludowej — obrzędu weselnego. Od innych ujęć — powieściowego (choćby „Wesela Boryny” w „Chłopach” Reymonta) i widowiskowego (np. pokazywane przez zespół amatorów „Wesela Lubelskie” lub „Gody Weselne” Schillera) odróżnia się reportaż Maciejewskiego realizmem i aktualnością, osadzeniem w konkretnym czasie. Zrywa on z mitologizacją obrzędowości wiejskiej, nie idealizuje wiejskości pomysłami i symboliką obrzędu ani jego znaczenia w kulturze twórczej przez lud.

Dla współczesnego etnografu ta pozbawiona publicystycznej interpretacji relacja z życia — powinna okazać się interesująca z wielu względów. Nie tylko z tego, że ukazuje trwające jeszcze, a ginące i zacierające się już (niektórzy etnografowie powiedzą niestety!) formy dawnej kultury ludowej dając tym materiał do odtworzenia wiejskiego obrzędu weselnego z okresu bardziej niż dziś zamkniętej kultury wsi. Ale dlatego przede wszystkim, że ukazuje ona ten obrzęd niejako w stawianiu, w jego zmienności wywołanej dyalektiką czasu, ukazuje fragment kultury ludowej, fragment obyczajowości współczesnej wsi, współczesności ludu. Cóż różni ten „lud” z reportażu od dawnego obejmowanego tą nazwą np. przez pozytywistycznych ideologów — organiczników? Wieś księżacka stwarza tu szczególną sytuację: jest nadal po ludowemu barwna i strojna, ale przestała być zakorzeniona wyłącznie w ziemi, w rolnictwie. Na wesela zjeżdżają do rodziny krewini z odległych stron, będący robotnikami przemysłu, pracownikami w miastach. Wracając na wieś uczestniczą oni w weselu nie jako goście, ale jako czynni aktorzy obrzędów. Wieś nawet poprzez stosunki rodzinne wiąże się z przemysłem, z klasą robotniczą.

Wesela, współczesne wesela wiejskie dają przede wszystkim sposobność do badania stosunków rodzinnych na wsi. Reportaż Maciejewskiego ukazuje tu interesujące przejawy będące w dużej mierze rema-

nentami przeszłości: względy majątkowe przy zawieraniu małżeństwa, o-soba złej świekry, w antagonizujących przyspiewkach podziaty obyczajowe na panny, mężatki (baby).

Drugą sprawą z zakresu obyczajowości współczesnej wsi przedstawiającą się w zmienionej obrzędowości wesela — jest sprawa kobiety na wsi. Na ile rola jej jest nadal bierna przy wyborze męża, następnie podporządkowana mężowi w życiu rodzinnym i pracy.

To nawet, co w tej sprawie nie zostało wyraźnie wydobyte przez autora, co się w opisywanym obrzędzie weselnym nie ujawniło — stwarza pokusę dokładniejszego zbadania i śluszniejszej niż to się u nas w pracach etnograficznych przeważnie czyniło — śluszniejszej, a więc bardziej marksistowskiej oceny sytuacji kobiety i jej roli w życiu wsi.

Autor reportażu natrafiał na żyłe żywego ciagle folkloru, dowiódł żywotności obrzędu właśnie w jego zmienności, a nie w zakreślonej tradycji. W zbeletryzowanej formie reportażu wyraźnie miesza się element dawności, zwyczajowej, z formami nowego życia w zmienionych warunkach materialnych. Satyryczne przyspiewki weselne zapisane przez autora przechodzą tradycyjnie z pokoleń na pokolenie i tu jednak dają by się zapewne odkryły elementy nowe, współczesne. Reportaż ujawnia wyraźnie w opisie zabawy weselnej na tle pracy gospodarczej na wsi — brak równowagi między pracą i zabawą, coraz większe nieprzystosowanie dawnej formy zabawy — długotrwałe, huczące zabawy kulackiej do współczesnych norm pracy w rolnictwie. Reportaż Maciejewskiego dostarcza niestety zbyt mało uwzględnień klasowych w przebiegu wesela, w zwyczajach weselnych. Uwydatnić te sprawy, interpretować je — byłoby obowiązkiem współczesnego etnografu-marksisty. Wracając w zamieszczonym reportażu uwagę na żywotność obrzędowego folkloru, a tym samym na jego zmienność, redakcja zaprasza etnografów do zabrania głosu i uzupełnienia literackiego opisu Maciejewskiego historyczno-kulturową interpretacją.

Anna Kamińska







## WESELE WSPÓŁCZESNEGO BORYNY

(Dokończenie ze str. 3-cj)

— Ano nie. Kto pójdzie tańczyć, a kto spać...  
— Wybieram to drugie. Czy na tym obiedzie wesela już się kończy?  
— Gdzie tam. To zresztą jeszcze nie jest obiad. Obiad będzie dopiero wieczorem. A jutro rano poprawiny, ale już nie u młodej, tylko u nas.  
Goście z Warszawy poszli do chłupy i legli na przygotowane dla siebie łóżko. W izbie pachniało mocno jabłkami, siennik był twardy, ciepła pierzyna. Zasnęli snem kamiennym.

Zmierzchało już, gdy zastukano do drzwi i wesela Antosia.  
— Wstawajcie, państwo. Niedługo obiad!

— Czuję, że zrezygnuję z obiadu — powiedziała rozespianym głosem żona gościa z Warszawy. — Może pójdziecie sam?

Antosia rozsiadła się na trzyczęciwym krzeselku i leniwie odpowiadała na zadawane sobie pytania. Najchętniej rzuciłaby się, tak jak stała, na łóżko. Kiedy pomyślała o tym późnym „obiedzie” i jutrzejszych poprawinach, przechodziła ją ciarki. Nogi już miała obrzucić od biegania.

Wzdrygnęła się na myśl o zmywaniu stert naczyni.  
Do stołów poproszono późno. Sceneria była ta sama: tłok, przysięwki, to samo jadio i wódka. Grał tylko harmonista, pozostali dwaj muzycanci siedzieli wraz z gośćmi za stołem. Bębniem owładnął brat młodego, Czesław, i akompaniował nie w takt. W smudze cienia, ostrym klinem dzielącym światło, padające ze stołowy, zaczynała się zwada: brat Murczaka, co to poniechał małżeństwa w Michaśku, rwał się do bitki z mężem Puchaczki, która nie chciała z nim tańczyć. Rozbrańano ich... Kobiety śpiewały:

„Wczoraj była u pszenicy, dzisiaj u żyta, u żyta, u żyta,  
wczoraj była panienczka —  
dzisiaj kobita, kobita,  
Oj da da!”

Zbliżały się ocepiny, które niemal do ona zatrąciły dawną obrzędowość i przeszły niemal niepostrzeżenie. Podczas gdy dziewczęta śpiewały:

„My ciebie, Jasiuniu, nie chcemy,  
nie chcemy,  
Twój wianuszek z białej róży  
w błoto wdepczemy...”  
meżatki im odpowiadały chóralnie:  
„My cię, Jasiuniu, przyjmujemy,  
przyjmujemy,  
Twój wianuszek z białej róży  
za szkło włożymy!”

na to druchny:  
„Kiedyście ją ocepili, to ją sobie  
wzięcie,  
będzie wam sprzedawała  
obwarzanki w mieście!”

I oto młoda miała już na głowie na wór meżatek zawiązaną barwną chusteczkę. Była już gospodynią, meżatka, babą. Może dlatego uśmiech tak rzadko ukazywał się na jej pobladłej ze zmęczenia twarzy.  
Zwyczaj nakazywał, że młodej zdejmują z nog trzewiki, który hołowanie musi wykupić butelką wódki. Paru najbardziej wytrwałych opojów wlało pod stół i przeskakując się między nogami biesiadników oraz rozmaitymi odpadkami z biesiad, wszczęło walkę o trzewik młodej. Ostatecznie panem zlanego póżbucka został pan młody.

Jeszcze do stołowy wjechał na „ośle” — krocącym na czworakach parobczaku, przodującym w kółkach, włosem do góry — kilkoletni siostrzeniec młodej, ale już obiad dobiegał końca i młodzież coraz liczniej przenosiła się na deski. Miano tam tańczyć do rana.

We wtorek były już tylko „poprawiny”, na których pozostała jedynie bliźnia rodzina i goście z miasta. Do śniadania podano w niedawno odbudowanej izbie rodziny młodego. Że była mniejsza od klepska, więc tłok był niemal równie wielki. Tym razem gości z Warszawy usadzono obok gości z Pomorza, z prawej zaś zasiadł ów stary Hilary, co to odbył kampanie rosyjsko — japońską i z wielką chęcią opowiadał o laojanie, o zwycięstwach chińskich i o swej ranie, w Mandżurii odniesionej.

Jadospis potraw i napojów był ten sam z dodaniem nożek w galarecie oraz marynowanych śliwek. Jedynie wódki było znacznie więcej — no, bo goście było znacznie mniej. Zaledwie zasiadli do stołu, zniknęły z niego dwie litrowe butelki, schowane przez

biesiadników pod stół. Gość z Warszawy sądził, że był to żart, chodziło jednak o wyciągnięcie butelek zastępczych, by zwiększyć rację litra na cztery osoby... Młody jednak nie dał się na to nabrać. Oświadczając, że jeszcze jest przy zdrowych zmysłach, doskonale pamięta, że wódkę stawiał, a jeżeli ją schowali, to sami sobie winni: najwyżej nie będą pili.

Wobec tego butelki ukradkiem wróciły na stół.  
Wraz z nalaniami pierwszych kieliszków zaczęły się przysięwki, jednakże bez akompaniamentu kapeli. Była to przyjemność zbyt kosztowna. Trzej muzycanci za swój wczorajszy występ wzięli 6300 zł.

„Dziś już nie wesela tylko poprawiny,  
wczoraj była panienczka,  
dzisiaj gospodyni!”

Młoda dziś była w lepszym humorze i nawet znalazła czas dla swych gości z Warszawy, którym użalała się, że „jakbyś się, czelecie, nie starał — wszystkim nie dogodzisz. Później i tak cię obsmarują, żeś skąpił...”

Stary chłop w pasiaku obok gościa z Warszawy nie rwał się do wódki, ale gdy ten mu napełnił kieliszek, uśmiechnął się szeroko i tracił go porozumiewawczo lokciem. To — ci gratka! Na to i wesela! Zaspiewał chropawym, jakby nadpęknętym głosem:

„Jestem Księżak spod Łowicza,  
a szeroka nogawica,  
a i szerokie rękawy,  
ze mnie Księżak do zabawy!”

Temperatura zabawy szybko wzrastała. Już, usadziwszy tego i owego gościa na krześle, brano go „na ura” do góry, już przysięwki wybuchły nieskoordynowanie w kilku miejscach jednocześnie.

„Wszystkie kwiatki ładne, ładne,  
najładniejsza astra,  
Wszystkie druchny ładne, ładne,  
najładniejsza starsza!”

Michasia przerwała na chwilę bieganie między komorą a stołem i dała się namówić na wychylenie kieliszka. Czesław, mający słabą głowę, bronił się przed tym gwałtownie.

Młody stanął za gośćmi z Warszawy i szeptał im ucho:  
— Ze ja się wczoraj na was patrzeć przy stole nie chciałem, to dlatego, że mi wstyd było za to ich zachowanie... Pan pół świata obejchał, to i owo widział, więc i dziwić się musi na to zachowanie się naszych ludzi wiejskich...

— Och, to się zdarza i w mieście. Może jeszcze częściej — pocieszał go.

— Ale ich trzeba zrozumieć — bronił młody swych znajomych i sąsiadów. — Oni w czasie okupacji i w pierwszych latach powojennych nauczyli się pędzić i pić bimber. Pili go jak wodę, choć był mocny jak spirytus. I to im weszło w zwyczaj. Bo niektórzy to i odzwyczaić się nie mogą, jak ci na przykład — wskazał na zespół czterech z przeciwnika.

Poprawiny się udały. Młody, Antosia, Michasia, Czesław, ich matka nie szczędziła gościom niczego: „Jedzcie, pijcie, używajcie — po kieszonkach nie chowajcie...” Sprowadzono ze wsi jakiegoś samouka-harmonistę i w opuszczonej szkole, zastępując przejściowo dom ludowy, chcieli urządzić tany. Chłodno tu było i brudno, podłoga dawno niezamiatana, toteż zaledwie kilka par kręciło się ospale. Drugą to już dobę trwało wesołe i zmęczone dobrze siedziało w kościach. W dodatku pogoda była na świecie i wszędzie wokół ludzie orali, bronowali, siali...

— Dawniej — spełnił Hilary — inne były czasy, lepsze. Wesela trwały tygodniami.

— Wesela trwały tygodniami — wtrącił gość z Pomorza — a potem z długim nie wytrzymał przez rok, albo i więcej. To mi wesela!

Hilary z blaszanego pudełka wydobyl półówkę papierosa, obejrzał ją starannie, zapalił. Potem z nieprzebranym wyrazem zwiędłej porań brzydki twarz spojrzał na gościa z Pomorza.

Kobiety pojeżdżały swe świąteczne welniaki i nagle jakby odarły rajskie ptaki z pierza. Stały się codziennymi, zalatanymi, zapracowanymi, szarymi, niepokojnymi istotami. Chwytały za szkopek, za kosz na kartofle, za tę codzienną babką pracę, której nigdy końca nie widać.

Wesołe się skończyło...

Jerzy K. Maciejewski.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

# WŚRÓD JANKÓW-MUZYKANTÓW

W Warszawie, z dala od gwaru miasta, opada schodkami w stronę Wisły wążutka szyja ul. Profesor-skiej. Boczny zaułek oddycha własnym życiem; cały dzień w niespokojnym powietrzu wibrują dźwięki wszystkich możliwych instrumentów. To tutaj mieści się Państwowa Średnia Szkoła Muzyczna — nieuświadomiony cel marzeń chłopskich dzieci opętanych muzyką.

Któregoś dnia zatrzymał się przed szkołą nieoczekiwany w tej scenarii wehikuł — wóz drabiniasty spod Tomaszowa. Wysiadł z niego stary chłop w baraniej czapce i zażądał widzenia się z dyrektorem. Za przybyłym przepychała się trójka rosyjskich chłopaków.

— Przywiozłem wam do szkoły trzech synów. O niczym nie chcą słyszeć, tylko o muzykowaniu. Jakos tam ich zaopatrzcie — dajcie tylko dach nad głową i uczyć!”

2.500 LISTÓW

Scena ta wywarła duże wrażenie na dyrektorze szkoły Kurkiewiczu. Już od jakiegoś czasu zastanawiał się nad znikomym procentem młodzieży wiejskiej w szkołach muzycznych (w Warszawie 8 procent). Stan ten wymagał radykalnej poprawy. O jego zmianę wołała wiekowa krzywdą zapoznanych talentów „Janków — muzykantów”; domagała się koniecznej regeneracji kadr muzycznych przetrzebionych przez wojnę; wyzwała potrzebą wniesienia nowych treści klasowych do naszej kultury muzycznej.

Koło partyjne przy konserwatorium porozumiało się ze Związkiem

Samopomocy Chłopskiej. Urządzono zarezervować pewną ilość miejsc w szkołach muzycznych i ogłosić to w prasie chłopskiej.

Wkrótce w „Gromadzie”, „Chłopach”, „Zielonym Sztandarze” i innych pismach, a także w Polskim Radiu — ogłoszono komunikat. Rezultat przeszedł najsłabsze oczekiwania. Już po kilku dniach zaczęły napływać setki listów — entuzjastycznych, błagalnych, natarczywych. Do maja 1949 r. wpłynęło przeszło 2.000 podań. Pisali młodzi muzycanci wiejscy, pisali samorodni śpiewacy; około 600 listów przysłały dzieci nie umiejące grać, ale chcące się po prostu czegoś uczyć.

Andrzej Koźniakowski z powiatu grójeckiego pisał: „Ze słuchu gram wszystko na pianinie i na skrzypcach... Gdybym się uczył od młodego, to do tej pory bym był muzykiem, ale że jestem biedny sierota, bo nie mam ojca i mieszkam na wsi, to grywam sobie ze słuchu na skrzypcach. Jak się tu nauczyć grać, żeby pomóc mamusi?... Z zalem patrzę na fortepian, który jest zamknięty w pokojach po dziecku od reformy rolnej bez użytku do dzisiaj, a który mógłby służyć dla „Janków — muzykantów”.

List nieco egzaltowany, ale z wyraźnym zacięciem literackim, przysłała 17-letnia Anna Kowarska z Siedlec. Opisuje w nim swoje tęsknoty artystyczne, pierwsze przeżycia muzyczne, jakie dał jej grający dziadek — krowiarz, zabity potem na pastwisku przez Niemców.

Wzruszające podanie młodego grajaka pokrzywdzonego przez życie: jest nieślubnym dzieckiem, co mu wszyscy

wypominają; ma tak zwany „ogień” na twarzy, z którego wszyscy się śmieją. Jedyną nadzieją, rehabilitacją i zadośćuczynieniem jest dla niego muzyka.

Pisał ojciec niewidomego chłopca, odcietego od świata barw i kształtów, żyjącego jedynie w krainie dźwięków.

Maria Fiałkówna z pow. lubartowskiego pisze: „Strasznie zamknięta jestem grać na skrzypcach, śpiewać i tańczyć... Więc ja hym bardzo prosila o opisanie warunków i czy będę mogła być przyjęta na te kursa... Proszę natychmiast odpisać...”

11-letni muzykusz zagroził ojcu, że ucieknie z domu, jeśli nie zawiozą go do szkoły w Warszawie.

PRZEŁOMOWY KONKURSY

Na wszystkie listy odpowiedziano. Na początek wytypowano 100 najciekawszych i zaawansowanych parolętnią grą dzieci. Zaproszono je na publiczny egzamin do Warszawy.

Niektórzy po 50 — 60 km. drożali na piecnotę. Staneli wreszcie przed wiekiem gnałach związku Samopomocy Chłopskiej na pl. Starynkiewicza. Dzieci dostały jeść, przeszły przez badania lekarskie, zostali prowizorycznie zakwaterowani. Warszawa zainteresowała się swoimi przyszłymi sławami. Zaczęto przysyłać wiktualia, jakaś Centrala Haniowa zaopatrywała... bezcenne kapusty, zgłaszano pomieszczenia; ktoś chciał jednak konieczne naprzekład chłopca, ktoś inny zaprzęgnął dziecka, ale właśnie w wieku lat 12, jeszcze ktoś żył sobie akurat skrzypką i t.p.

Na egzamin zaproszono ludzi ze sfer rządowych, artystycznych, wojskowych itd. Pytania obejmowały próbę słuchu i wrażliwości muzycznej (poczucie rytmu, słuchu, orientacji dźwiękowej) oraz stopień zaawansowania muzycznego. I po raz drugi rezultat przeszedł najsłabsze oczekiwania.

W tej gromadzie biednie ubranych dzieciaków i wyrostków wiejskich, z czarnym brudem za paznokciami, zaopatrzonych w okropnie zdezelowane instrumenty — odkryto zdumiewające talenty. Wielu zdawało na piątki ze wszystkich przedmiotów. Stopień zaawansowania był oczywiście bardzo różny: od dzieci, które znały tylko organy i pierwszy raz w życiu widziały fortepian — do 17-letniego Władysława Richeńskiego, który wystąpił z „Romansem” z koncertu skrzypcowego Wieniawskiego.

Syn rolnika z lubelszczyzny 25-letni Stanisław Kupica nie tylko gra, ale również maluje i pisze. Do słów jego „Pieśni ludowej” Jan Maklakiewicz napisał już muzykę.

14-letni Zbigniew Szczęsny dostał skrzypce na gwiazdkę od siostry ciotecznej. Popisywał się grą na nich, a także na harmonii.

Bogdan Łukasiewicz, syn nauczycielki ludowej, był w 1943 r. w Alcie. Nauczył się tam grać na balajajce, następnie akompaniował na gitarze, obecnie opowiadał już mandolinę, akordeon, skrzypce i fortepian. Wibracje, ma absolutny słuch.

Jedną z najpopularniejszych postaci konkursu był 11-letni Roman Zdanowicz; malutki zakutany w kożuski, z harmonią — najniebezpieczniejszą chyba wśród harmonii świata. Przed występem umacniał klawisze, gorączkowo kleił instrument papierem, żeby powietrze nie uciekało. Egzamin zdał świetnie.

Tragiczny epizod młodego ślepeca. Stwierdzono zdolności muzyczne, ale nie umiano znaleźć dla niego miejsca. W bursie z normalnymi dziećmi nie można było go umieścić. Instytut Ociemniałych nie chciał się nim zainteresować. Chłopak krzyczał rozpaczliwie w gabinecie organizatorów w Związku Samopomocy Chłopskiej, szukając jej beznadziejnie po pokoju.

W rezultacie egzaminu zakwalifikowano:

|                     |           |
|---------------------|-----------|
| do klasy fortepianu | — 10 osób |
| skrzypce            | — 8 osób  |
| wiolonczela         | — 2 osoby |
| trąbka              | — 5 osób  |
| klarnet             | — 2 osoby |
| flet                | — 1 osobę |
| waltornia           | — 2 osoby |
| kontrabas           | — 5 osób  |
| puzon               | — 2 osoby |
| do klasy śpiewu     | — 3 osoby |

O konkursie rozpisano się prasa. Po pierwszym artykule Wiktora Woroszyńskiego: „Królikowski gra sam ze siebie” w „Trybunie Ludu” — posypały się entuzjastyczne opinie w wielu pismach. Prezydent Bierut ofiarował kilka stypendiów dla najbardziej zdolnych, Marszałek Żymierski — wykupiwał bursę dla kilkudziesięciu chłopców. Świat muzyczny zebrał instrumenty wartości miliona złotych. Rozpoczęto gromadzenie pieniędzy w ramach Funduszu Stypendialnego Chopinowskiego, korzystając ze zbiorów ulicznych, subwencji Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zw. Samopomocy Chłopskiej, C.R. Zw. Zawodowych i Zw. Młodzieży Polskiej.

Po pierwszym konkursie (31 stycznia — 1 lutego 1949 r.) odbył się jeszcze drugi w Warszawie, a potem podobne: w Lublinie, Krakowie, Olsztynie, Poznaniu, Katowicach — dla dzieci z tamtych województw.

Zasadniczo postanowiono zgromadzić muzykantów w dwu punktach: w Warszawie (bursa na ul. Podchorążych) i w Krakowie (bursa na ul. Paryskiej, w dawnych koszarach K. B. W.).

Nie wszyscy uzdolnieni mogli się od razu zmieścić w konserwatoriach. Część skierowano do zespołów muzycznych „Służby Polsce”, część do Państwowego Zespołu Mazowieckiego Pieśni i Tańca w Karolinie (gdzie uczyć się równocześnie gry na fleciu,

śpiewu, i tańca). Starszych oddano na kurs akcji świetlicowej Zw. Samopomocy Chłopskiej, aby wyszkolić z nich przodowników amatorskiego ruchu muzycznego — świetlicowego, kucającego dotychczas.

MUZYKA

NA UL. PODCHORĄŻYCH

Po konkursie dzieci wróciły do domu na wieś, aoy czekając na rozpoczęcie roku szkolnego. Nie mogły się ooczekać! Opisał to soczyście wspomniany już Roman Zdanowicz z pow. Piła, w liście do konserwatorium: „Byłem w Warszawie w Szkole Muzycznej Samopomocy Chłopskiej, na egzaminie ze swoim muzycznym instrumentem i zdałem egzamin i dostałem piątkę, przyjechałem z tatusem do domu i dotychczas nie mam żadnej wiadomości... śniuję się bardzo, bo nie mam żadnej wiadomości kiedy mam przyjechać do nauki... liczę siebie nieszcześliwego, że ze mnie wszystkie dzieci śmieją się, że ja nie wyjeżdżam do nauki... Z niecierpliwością czekam odpowiedź wknępi mam przyjechać do nauki!”

Nareszta wreszcie jesien. Chłopcy zostali zawiadomieni, że do 15 października mają stawić się w Warszawie. Rozpoczął się rok szkolny w Średniej Szkole Muzycznej.

Lekcje to jednak nie wszystko. Trzeba się do nich przygotować, a przede wszystkim trzeba gdzieś mieszkać. W rozwiązaniu tej kapitalnej kwestii pomógł wojsko. Marszałek Żymierski ofiarował na bursę barak nr. 2 w koszarach na ul. Podchorążych. Warunki napewno nie luksusowe, ale i nie najgorsze. Murowane pomieszczenie składa się z trzech salek: dużej świetlicy i dwu mniejszych pokoiów bocznych. Poniżej rozpiętość wieku elewów jest znaczna: od 11 do 20 lat — młodszych umieszczono w dużej sali, a starszych, po paru, w pokojach. W każdej z trzech izb stoi pianino, muzyczny barak rozbrzmiewa cały dzień ćwiczebnym jęzgotem wszystkich instrumentów. Mieszka tu około 30 chłopaków, a każdy chce skorzystać jak najwięcej. Są wybrańcy z konkursu, są starsi uczniowie szkoły, są też „ciuckinierzy” z Zespołu Mazowieckiego w Karolinie. Nie mieli zaufania do tamtej nauki, która przygotowuje grupę występować — to rzecz niepewna; każdy zespół może się rozlecieć, a oni chcą zdobyć zawołowe, pełne wykształcenie muzyczne.

Kierownik kursu (trzydziestoparoltni pianista) chwali swoich wychowanków: element moralnie zdrowy; chłopcy więcej nie przypominają lumpowskich wyrostków; są szczerze rozmiłowani w muzyce, chcą się naprawdę uczyć.

Kłopotów oczywiście nie brak: chłopaki mają się pod dośw ciotecznej od baraków pompa; wewnątrz pokutują jakieś antyczne piece, które należałoby wymienić; przed zimą barak trzeba by podwinąć otynkować.

Kierownik chciałby w życiu kursy pogodzić z wymogami dyscypliny i artystycznej natury chłopców. Jednostoletni muzyk przechadza się zaczumany po sali w wełnianej mycie na głowie. „Zdejmij czapkę, w domu jesteś!” — powiada przełożony. Chłopak myśli przez chwilę i poważnie zdejmując beret.

Młodszych trzeba było poza tym ulokować w szkole ogólnokształcącej. W Warszawie nie zawsze jest to łatwe, ale jakoś się udało.

Uczniowie są zadowoleni z bursy i nauki. Dostali nowe instrumenty, wyżywienie mają dobre („co dzień kompot!”). Jadają w estetycznym urządzonym Kasynie Oficerskim.

POZNAJMY PARU „BURSIARZY”

Klasycznym typem „Janka-muzykanta” jest 15-letni Krzysztof Ślusarz, syn półtora hektarowego chłopca z Lubelszczyzny. Od 7-go roku życia grywał na skrzypcach, które sam wycinał z drzewa. Ojciec mu początkowo zabraniał, ale widząc upór chłopca zaczął robić stolarzowskiasiadów skrzypki dla syna. Po trzech latach kupił mu prawdziwe skrzypce. Chłopak, całą duszą zakochany w muzyce, zaczął chodzić po weselach i zabawach, wygrywając polki i oberki. Znajomek przeczytał komunikat o szkole muzycznej — zawiadomił chłopca. Krzysztof pierwszy raz w życiu jechał pociągami na konkurs do Warszawy — dotąd pędził życie na głębokiej wsi — 20 km. od Parczewa. Jest piątkarzem, jednym z najzdolniejszych w bursie.

Waldemar Kulfan ma 20 lat i piękną, silną tenor. Pochodzi z białoostockiego, był robotnikiem-tkaczem, matka wdowa — także robotnica. W domu bieda. Chłopak był znany w okolicy ze swego talentu, kierownik świetlicy fabrycznej zwrócił na niego uwagę i wrócił mu przyszłość artystyczną. Kulfan gra ze słuchu na różnych instrumentach, jest członkiem ZMP.

Przewodniczącym Koła ZMP na terenie szkoły jest Władysław Kwiatkowski, 20-letni skrzypek, syn emerytki mieszkającej na Kole. Jego „historia” zaczęła się od tego, że kolega przyniósł kiedyś mandolinę. Bardzo się to Władowi podobało, ale wnet zaprzagnął skrzypce. Jeszcze przed wciągnięciem do organizacji zajął się nim ZWM-owcy. Przygarneł go do siebie do Domu Akademickiego, bo w mieszkaniu grać nie mógł z powodu ciasnoty i braku światła (lampa naftowa). Od czterech lat uczy się w Szkole Muzycznej.

11-letni Henryk Wesolowski pochodzi z okolic Włodawki, gdzie rodzice mają 5-cio morgowe gospodarstwo. Umie grać na harmonii, a teraz opanowuje fortepian.

Na klarnece uczy się grać inny były harmonista Jaroś...

St. Marczak - Oborski

(d. c. n.)

## FRANCISZEK HALASA

1901 — 1949

PIEŚŃ NIEPOKOJU

Ileś razy mój wierszu  
ileś razy utykał  
w miłości bólu rzeczywistym  
lecz osobistym  
ileś razy mój wierszu  
brzmiał taneczną muzyką

A teraz idź mój wierszu  
idź krokiem zbrojnym  
w pochodzie wojny

Rytmem piechoty brzmiące słowa  
w bojowym szuku  
w niepokoju krzyku

Dzwoni dzwoni zdrady dzwoni  
zdradą dzwoni

Czyż go ręce rozhuśtały  
O Francjo słodka cny Albionie  
Czechy was tak kochały

Widziałem mokre kobiet oczy  
Widziałem pięści zacisnięte  
Wnet już gdy czas się ten przeto-  
czy

poznacie niepojęte

Ty wszechmogąca mój królowo  
to morze leż to nasze lica  
dojrzej wkrótce gniewu owoc  
nadziei brzęczy już kotwica

Dzwoni dzwoni zdrady dzwoni  
zdradą dzwoni

Czyż go ręce rozhuśtały  
O Francjo słodka cny Albionie  
Czechy was tak kochały

Ty Francjo słodka ty Marianno  
frygijską czapkę swoją podaj  
Słoneczny szczyt twój roztrza-  
skano  
i hańbą cuchnie twoja zgoda

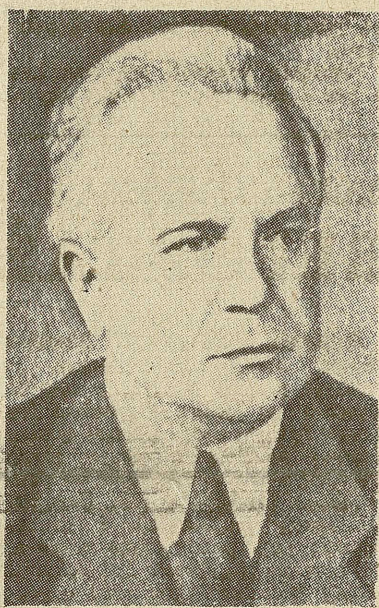
Noc w schronach ciemnych i okopach  
i w ziemi krwi brzmii tętno  
do ciebie świecie do ciebie Europo  
ostatni żołnierz wstręt ma

Dzwoni dzwoni zdrady dzwoni  
zdradą dzwoni  
czyż go ręce rozhuśtały  
O Francjo słodka cny Albionie  
Czechy was tak kochały

Pole nasze krzyczy Zdrada  
Lasy nasze trzeszczą Hańba  
Rzeki nasze szumią Zdrada  
Góry nasze huczą Hańba

A teraz cisza Stapa Głos  
O duszo ludu takiz głos  
Geniuszu ziemi naszej  
na skrzydłach twych  
leż pełno które ronim  
Geniuszu ziemi naszej  
w godzinach złych  
miecz twój niech wnet zadzwoni

(1938)



Przed kilkoma dniami zmarł w Pradze Franciszek Halasa, jeden z najwybitniejszych współczesnych poetów polskich. Śmierć Halasa jest dla nas tym boleśniej, że położył on olbrzymie zasługi na polu zbliżenia kulturalnego narodów polskiego i czeskiego.

Halasa debiutował w r. 1927 zbiorkiem zatytułowanym „Sepie”. W latach następnych opublikował kilka nacięć oryginalnych tomików poetyckich i wiele przekładów. Za własną twórczość poetycką został odznaczony w ludowej Czechosłowacji tytułem Artysty Narodowego.

Halasa przyswoił kulturze czeskiej wiele arcydzieł poezji polskiej. Przetłumaczył m. in. „Pana Tadeusza”, „Dziady”, „Grażynę” i „Konrada Wallenroda” Mickiewicza. W r. 1947 odznaczony został przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej orderem „Odrodzenia Polski” za zasługi położone dla sprawy pogłębienia przyjaźni polsko-czechosłowackiej. W r. 1948 otrzymał nagrodę Polskiego Pen Klubu za niezrównane przekłady dzieł Mickiewicza.

Zegnamy w Halasie wielkiego przyjaciela Polski, jednego z najwybitniejszych liryków współczesnej Czechosłowacji, pisarza, który stanął po stronie walczących mas ludowych, a literaturze wskazał drogę służby: „poci, naszą nadzieją lud”.

WIERSE

Wyschły z pragnienia gniewu  
za wami, biedni, krocze,  
straciłem źródło śpiewu  
i więcej nie nocze.  
Wyschły z głodu tęsknoty  
pragnę już tylko krzyczeć,  
długi był czas niemoły,  
tego się nie doliczę.  
Spalony ogniem grozy,  
który podpala ciemność,  
chcę wierzyć i chcę tworzyć  
jak inni razem ze mną.  
Wygany z kraju marzeń  
Schronienia szukam w tłumie  
pieśni ma z przekleństwem w parze  
bo innej już nie umiem.

(1936)

przełożył K. A. Jaworski



LEONARD SOBIERAJSKI

# LIPCE REYMONTOWSKIE (III)\*)

I

W pierwszych dwóch częściach naszego szkicu o Reymontcie staraliśmy się — oczywiście bez pretencji do wy-czerpania sprawy — znaleźć dla autora „Chłopów” określone, konkretne środowisko ideologiczne.

Lata przełomu XIX i XX w. to czas zaostrego się walki klasowej na terenie całego imperium carskiej Rosji, a więc i na terenie Kongresówki. W naszych stosunkach jest to okres ostrego różnicowania się postaw ideologicznych. Katalizatorem jakby jest rok 1905. Dla tych lat charakterystyczne są słowa Lenina, że nie istnieje jakaś pośrednia, ponadklasowa ideologia. Jest ideologia burżuazyjna i ideologia socjalistyczna. Podpisać się można tylko pod jedną z nich. Linia twórczości Reymonta to zarazem linia wyrażenia się przyjętej przez niego ideologii. „Ziemia Obiecana”, „Chłopi”, „Rok 1794” — to etapy coraz bardziej zdecydowanego zamykania się autora w ideologii burżuazyjnej. Wydaje nam się, że wnikliwy krytyk, który by przeprowadził bystrą analizę trzech wielkich dzieł Reymonta, rozpatrując je od strony ideologicznej i artystycznej, mógłby wyniki swych badań przedstawić po prostu graficznie. Badając twórczość Reymonta od strony treściowej będzie on notował w następujących po sobie działach coraz większe nasilenie elementów, uwarunkowanych ideologią burżuazyjną — da mu to w rezultacie linie podnoszące się. Ostatni utwór Reymonta „Bunt” będzie stanowił najwyższy i zamykający punkt tej linii. Badając te same dzieła i w tej samej kolejności od strony walorów artystycznych otrzyma on coraz silniejszą punktację — wyznaczającą linię opadu. „Bunt” — ostatni wyraz ideologicznego „rozwoju” autora — będzie na tej linii punktem najniższym.

Celem wcześniejszych naszych rozważań nad Reymontem było pokazanie linii „awansu społecznego” autora „Chłopów”. Linia tego awansu wyznaczał system kapitalistyczny. Przez pisarstwo (o odpowiednim ciężarze usługowym) można było nawet drobnomieszczaninowi i chłopu wejść do klasy posiadającej. Reymont — jak wiemy — nie zadowolili się uznaniem przez burżazję jego pozycji społecznej z tytułu jego pisarstwa. Pragnął on ekonomicznie i towarzysko zrównać się z ludźmi klasy panującej. Osiągnął to przez kupno majątku Kołaczkowo, gdzie jako równy z równymi mógł przyjmować i podejmować przyjaciół nie tylko związanych z nim ideologicznie, ale mających wspólne interesy klasowe. Ten punkt dojścia Reymonta ma swoją wymowę. Musiał on naturalnie za-ważać nad całą „drogą życiową” autora. Pragnienie awansu, który mógł być tylko awansem do burżuazji, zmuszało do poszukiwania ideologii, wyrażającej interesy klasy posiadającej. Reymont, znajdując udany wyraz literacki dla tej ideologii — zdobywa wśród ziemianstwa i inteligencji mieszczańskiej (prawem wyrównania usług) pozycję: społeczną, ekonomiczną i towarzyską. Ta z kolei kazała mu ujmować rzeczywistość społeczną i historyczną z punktu interesu tej klasy, w którą wszedł. Możemy założyć hipotetycznie, że to właśnie tej wcześniejszej określiło jego pisarstwo.

Dotychczasowe nasze rozważania potwierdziły te hipotezy. Reymont od początku swej drogi pisarskiej ideologię burżuazji przyjął za swoją. Narazie staraliśmy się udowodnić to przy pomocy dwóch elementów: 1) wykazaliśmy ideologiczne powiązania Reymonta z grupą „Głosu”, udowodniliśmy jego związki z ludźmi, reprezentującymi interesy ziemianstwa, które na naszym gruncie w zroście z inteligencją mieszczańską dawało stop naszej rodzinnej burżuazji, znajdujący swój polityczny wyraz w narodowej demokracji z Romanem Dmowskim na czele. 2) Wykazaliśmy, jaką funkcję społeczną spełniało dzieło Reymonta właśnie ze względu

na klasowe interesy burżuazji. Obecnie przyjdzie nam zająć się samym dziełem, by przy pomocy analizy jego: 1) zawartości treściowej i 2) kształtu artystycznego, w jakim te treści się zawierały — otrzymać potwierdzenie dotychczasowego toku rozważań. Czytawista z racji publikacji artykułowej musimy zrobić to fragmentarycznie, pozostawiając sobie prawo pełnej dokumentacji naszej tezy do innej już okazji.

II

Prof. Kazimierz Wyka w swoich rozważaniach nad Reymontem doszedł do wniosku, że „Chłopi” są „utworem wątpliwym”. Chętnie pod ten sąd się podpisujemy z zastrzeżeniem uściślenia jednak samego terminu: „utwór wątpliwy” i propozycją — co dla nas ważniejsze — innej motywacji wniosku. Bo dla nas „Chłopi” Reymonta, przy metodzie badawczej, jaką próbowaliśmy zastosować — są dziełem o zupełnie określonej wartości, lokata jego nie nasuwa w nas nawet cienia wątpliwości.

Diagnoza prof. Wyki, że dzisiejsza proza nie powinna nawiązywać do tradycji Reymonta — jest słuszna. Trudno nam jednak zgodzić się na przesłanki, które do tej diagnozy doprowadziły.

Prof. Wyka staje na stanowisku, że twórczość Reymonta, tak ze względu na pisarzy, którzy przecież muszą nawiązywać do naszej tradycji literackiej, jak ze względu na czytelnika dzisiejszego — stanowi jakiś niższy stopień poznania prawdy o obiektywnej rzeczywistości np. w stosunku do „Prusa”. Thumaczy to brakiem dostatecznej wiedzy u autora „Chłopów”. Wynikałoby stąd, że gdyby Reymont — powiedzmy — posiadał wiedzę Ludwika Krzywickiego, byłby zdolny napisać dzieło o wsi, które dałoby obraz, zgodny z rzeczywistością historyczną.

Zastosowanie do Reymonta — jak to robi prof. Wyka — powiedzenia Stendhala, że „powieściopisarz to przechadza się po gościnu zwierciadła” — ma swoją słuszość tylko w części. Wolelibyśmy raczej użyć w stosunku do autora „Chłopów” innego porównania, że jest on kłiszą, która wszystko odbija, ale na której procesy „wywołania” dokonują się zgodnie ze świadomą wolą autora. Na „zdjęciu” widzimy tylko tyle i w takim układzie i proporcjach, jak wymaga tego potrzeba. Potrzebę zaś warunkuje właśnie przyjęta przez Reymonta ideologia. Prawo to nie działa bez odchylenia. Te odchylenia na szczęście u autora „Chłopów” istnieją. One to narażają go na „afrozy” ze strony — jak podaje „publi-cysta „Głosu” — deputacji ziemian-skiej, one to prawdopodobnie były powodem przypuszczalnych monitów ze strony ideologicznych mocodawców autora. Ale o tym później.

Jeżeli Reymont kreślił obraz wsi częściowo tylko zgodny z rzeczywistością historyczną, jeżeli propozycje w tym obrazie są bardzo dowolne — to nie wyjaśni się tego ani jego „instykt-tem artystycznym”, ani jego specjal-nym ustrojem wrażliwości zmysłowej. Nie wyjaśni się tym lardziej przez zaszeregowanie go do sztyku natural-istów. Trudno mieć pretensje do Reymonta, że nie pokazał on mecha-nizmu życia współczesnej mu wsi, dlatego — jak chce prof. Wyka — że był tylko „przechadającym się po gościnu zwierciadłem”.

Reymont rozpdzożzał „wiedzę konstruującą”, ale wiedzą służącą nie intencjom podstawowych mas chłopskich nie właśnie klasie posia-dającej. Jego obraz wsi był świadomie konstruowany z pozycji tej klasy. Zobaczmy jaką jest dyalektyka reymontowska ujęcia Lipiec?

III.

„Chłopów” Reymont pisał na prze-strzeni kilku lat i to lat — jak po-wiedziano — wciągającej się walki klasowej, lat w których bur-żazja coraz bardziej zaostrza swoją czujność wobec problemu wsi. Zna-lazło to swój pełny wyraz w dziele Reymonta. Dzisiaj można z niego odczytać właśnie poprzez jego zmie-niającą się koncepcję, poprzez wpro-wadzenie w dzieło nowych wątków, poprzez zupełnie inne, już w trakcie pisania, ustawianie postaci — jakie motywy kierowały autorem, gdy właśnie tak konstruował swoją wizję Lip-cie.

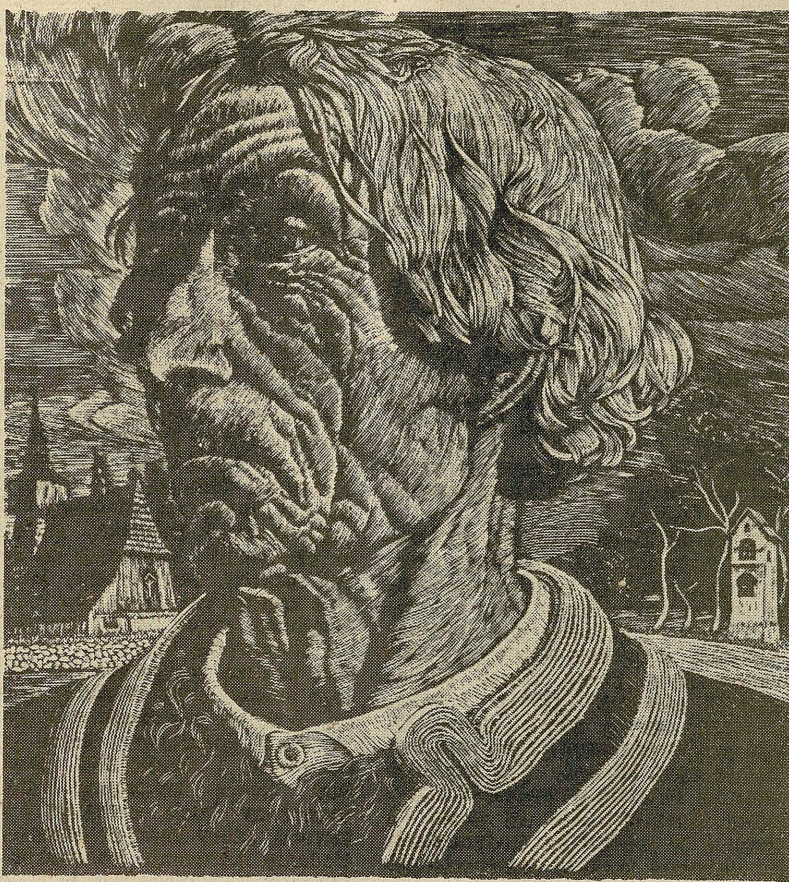
W pierwszej części „Chłopów” — którą Reymont pisał prawdopodobnie około 1900-nego roku, na pierwszym planie ustawiony jest bogacz wiejski — Boryna. Czy dlatego autor na nim skoncentrował swą uwagę, że miał — zainteresowania dla folkloru. Nie. Motyw według nas jest inny. Chodziło o pokazanie ziemianstwu czy inteligentno-mieszczanistwu czy tełnikowi ich ewentualnego sprzymierzenia. I dlatego w tej partii książki zarysowany on jest prawdziwie. W drugiej części z Boryną zaczyna się dzieło dziwne rzeczy. Przypominamy sobie jego początko-we zachowanie się w sporze o las. Boryna nie występuje jeszcze wtedy solidarnie z gromadą. Wykręca się, ogłada na pozostałych potentatów Lipiec, kluczy na własną rękę, nie deklaruje swojego uczestnictwa w akcji, którą proponowali średniacy z Kłębem na czele. Boryna wówczas pragnie wyraźnie wejść w jednostko-we paki z dziedzicem, tak jak robił to młynarz, wójt czy kowal. Widzi w tym swój interes, widzi w tym perspektywę na „uhonorowanie”. Zaszczęty dla siebie znajduje w ewen-tualnym rozmowie z przedstawicielem szlacheckiego dworu, który dla własnych interesów zajeżdża przed chłop-ski, młynarski dom. Nie można po-

wiedzieć, żeby Boryna tym postępo-waniem zjednał sobie zaufanie gromady. Cóż więc po takim sprzymie-rzeniu! Bogacz Boryna cenny będzie dla burżuazji tylko wtedy, jeżeli on będzie kierował społecznością wiejską i to właśnie wtedy, gdy w niej zaczyna narastać świadomość klasowa, gdy zaczyna ona dojrzewać do rewolucji demokratycznej. Tu widzimy pierwszą interwencję z zew-nątrz. Mocodawcy Reymonta przy-gladali się pilnie Borynie i oni to ka-zali mu jednak stanąć na czele gromady. Odtąd będzie się o nim mó-wiło, że zginął za gromadę, on bo-gacz wiejski — wzór chłopskiej soli-darności. Zufanie średniorolnych i biedniaków dla kulaka zostało przy-wrócone, zatarta sprzeczność intere-

sów klasowych wewnątrz wsi. Spra-wa posunie się jeszcze dalej. Boryna będzie prawie że beatyfikowany w końcowym obrazie śmierci przez wiz-ję Piasta — oracza, no i w kazaniu księdza plebana. W tym momencie została lekko potrącona struna, że przecież Boryna kiedyś stawał w dobrej sprawie ręką w rękę z panami — jako młody jeszcze chłop zna-lazł się w powstaniu. Istnieją więc punkty styżne między dworem i wsią. On Boryna to rozumiał — praw-y Polak i dobry katolik.

Musimy przyznać, że Reymont swoją „wiedzę konstruującą” ope-rował tu w myśl ideologii burżuazyjnej zupełnie zadowolając.

Przypatrzmy się teraz innemu za-gadnieniu.



Wł. Skoczyła — Głowa górala. 1913 r.



T. Kulisiewicz — Domy na uboczu. 1934 r.



T. Kulisiewicz — Macierzyństwo. 1934 r.

JÓZEF POGAN

## NAUCZYCIEL W MAŁEJ WIOSCE

Zwiedzając niedawno okolice Nysy, trafiłem do paru małych wiosek; między innymi do wioski W., oddalonej o 22 kilometry na południowy zachód od Nysy. Zwiedziliśmy tam szkołę, świetlicę, koło ZMP, Samopomoc Chł. i PZPR — spostrzegłem ciekawe zjawisko, charakterystyczne w pewnej mierze dla małych wsi w całej Polsce.

Wioska W. liczy 46 rodzin (217 mieszkańców). Wiadomo więc, iż w tak małej wiosce, na 24 uczniów wystarczy jednoklasowa szkoła z jednym nauczycielem „bo dzieci, opuszczające czwarty oddział, pójdą do szkoły podstawowej w większej, sąsiedniej wsi. Zrozumiałe. Chodzi jednak o to, iż w tej wsi, prócz nauczyciela, nie ma już żadnego inteligenta, co nie znaczy — uświadomionego społecznie człowieka. „Chyba to nie prawda — pomyśli niejedyn. — Cóż by to była za wieś?” Takie pytanie wymaga prostego wyjaśnienia: w małej, czysto rolniczej, zbyt oddalonej od miasta wiosce, gdzie nie ma urzędu gminnego, poczty, skąd nie można codziennie dojeżdżać do pracy biurowej w mieście, choćby się kto z tej wioski nieco wykształcił — siłą rzeczy już do niej ze szkół nie wraca, bo nie ma po co. (W większych wioskach bywa nieco lepiej: ktoś zostanie w urzędzie gminnym, na poczcie itp.) W takiej wiosce jedynym inteligentem jest tylko nauczyciel i on też, poza swoją pracą szkolną, mógłby jakoś wsi społeczno-kulturalnie pomagać. (Nie koniecznie musi się wpręgać do tej pracy; grunt, by był inicjatorem pożytecznych czynów i nadawał wsi postępowy kierunek.

W szkole podstawowej pod okiem zdolnego i uświadomionego kierownika — trochę słabszy czy lepszy nauczyciel, będzie prawie jednakowo pożyteczny, gdy natomiast przy braku kierownictwa — różnica pracy słabszego, czy lepszego nauczyciela będzie kolosalna. Słabszy nawet i dziećmi czteroddziałowej szkoły nie potrafi należycie pokierować, nie mówiąc już o społeczno-kulturalnej pracy w całej wsi. Dla zadokumetowania tego twierdzenia posłużmy się faktycznym przykładem, jaki właśnie zaobserwowałem w owej wiosce W.

Jest tam młody nauczyciel S. W tym roku ukończył liceum i został tam przydzielony. Zdaje się pilny i pracowity w swej pracy nauczycielskiej. Ale już jego skargi, że „dzieci nie chcą go słuchać”, że „nie chcą go uczyć” — nasuwają pewne podejrzenia, co do jego zdolności wychowawczych. Możliwe, że i w szkole podstawowej też by go „dzieci nie słuchały i kiepsko się uczyły”, choć być może, wpływ kierownika coś by tu zawazył. Chodzi jednak o rzecz ważniejszą: o to, że ów nauczyciel też poza szkołą nie może zrobić. Uskarżał mi się, „Chłopi mnie nie szanują... nie słuchają moich rad... uważają mnie za mało pożytecznego...”. Wierze w to, lecz raczej przyznaje właśnie chłopom. Bo proszę sobie wyobrazić: po wieczornej z nim rozmowie przyrzekłem go nazajutrz z rana odwiedzić. Zaszedłem dwadzieścia minut po siódmej. Leżał jeszcze w łóżku, mówiąc, że „sobie fest z jakimś tam kompanem popili”. Zalaował też, że mnie „ta okazja ominęła”. Zdziwiły mnie te niepotrzebne i naiwne jego „wspomnienia” z pijackiego wieczoru, a jeszcze bardziej ten niby żal, że „mnie ta okazja ominęła”. Gadamy sobie przez chwilę i od słówka do słówka przyszedł do szkaplerza na jego szyi. Wyjaśnił mi dobroduszenie, iż „ten szkaplerz uchronił go w czasie wojny od wywieżenia do Niemiec”. Pożegnałem go, obejrzałem salę szkolną i poszedłem dowiedzieć się czegoś od chłopów.

Po chwilowej rozmowie z działaczami partyjnymi i organizacyjnymi, moje zastrzeżenia co do owego nauczyciela całkowicie się potwierdziły. Nie należy do żadnej partii politycznej, ani do żadnej organizacji. Żyje luzem, choć niby próbuje po trosze nawiązać kontakt z chłopami. Nawet sołtysowi pomoże czasem w papierkowej robocie.

Posaszkolna „działalność” owego nauczyciela chyba nie wymaga komentarzy. „Fest popicie”, próba przyjaźnienia się z chłopami, papierkowa robota u sołtysa, plus mocna wiara, że „szkaplerz uchronił go od wywieżenia do Niemiec” — dają dość sporo do myślenia. To wszystko bez przynależności partyjnej, organizacyjnej, poważniejszego zainteresowania potrzebami wsi, bez rzucenia zdrowej inicjatywy — jest wielkim minusem. Lepiej przecież, by się zamknął samotnie w mieszkaniu, czy chodził wieczorami po polach i dumiał nad „cudowną mocą szkaplerza” i liczył na niebie gwiazdy.

W powyższym przykładzie nie mam wcale zamiaru piętnowania bezpartyjnych nauczycieli, uważam, że nie należy kategorycznie wymagać od nich tego, co czego nie są zdolni na co im przypojone „katolicyzm” sumienie nie pozwala. Najpierw muszą się społecznie i politycznie wyrobić i otrząsnąć z pewnych absurdów kościelnego wychowania. Sądzę, że wiele by się zyskało, gdyby „nie-dopieczonych” jeszcze nauczycieli, niewyrobionych społecznie i wątpliwych politycznie, władze szkolne przydzielaly do szkół podstawowych pod zdolne kierownictwo, a do jednoklasówek w małych „zapadłych” wioskach, gdzie brak ludzi uświadomionych, przydzielaly nauczycieli pod każdym względem wartościowych — na front!

Józef Pogan

W NUMERZE 45 (224)

TYGODNIKA „WIEŚ”

z dnia 7 listopada 1949 r.

Wskazania na wczoraj, dziś i jutro. — Kronika wielkich dni. Mikołaj Gribaczew — Kołchoz „Bolszewik”. Konstanty Fiedin — Niezwykłe lato. Tadeusz Orlewicz — Drogi budowy ustroju kolchozowego. Pablo Neruda „Zbieg”. Leonard Sobierajski — Reymont wśród wychowawców. Wiesław Jajdziński — Aby przysporzyć bogactwa krajowi. Roman Bratny — Lista placów i ile ciekawym. Edmund Niziuski — Radziecka powieść z frontu pracy. Juliusz Rucik — O latach i barwach. Edward Martuszkowski — Rozmowa o filmie, Marian Muszkat — Na marginesie mitu o wyższości cywilizacji zachodu. Stanisław Cieślak — Opowieść o budowniczych nowych ludowych Chin. Leszek Gołński — Ojciec pierwszej republiki. Maciej Loliba — Nie zacierać problemu teatru amatorskiego. J. Rudzik — W oczach Amerykanina. Władysław Leszczyński — Apologeci Czang-Kai-Szeka. Marcin Furmanek — Muzyki bajeckie. Hilary Jankin — Wspomnienia.

Leonard Sobierajski

\*) Patrz „Wieś” Nr 44 i 45.



STEFAN TREUGUTT

# GOETHE A NIEMCY DZISIEJSZE

Powstanie demokratycznej republiki niemieckiej, fakt bezspornie przełomowy w dziejach naszego zachodniego sąsiada, tak zwanego „zagadnienia niemieckiego” bynajmniej nie rozwiązuje. Zagadnienie to będą musieli postępowi Niemcy rozwiązać sami. Idzie tu o likwidację społecznych i politycznych pozostałości gospodarki kapitalistycznej o wykorzystanie wieloletnich tradycji ideologicznych bismarkowskiego i hitlerowskiego imperializmu, o walkę ze skutkami hitlerowskiego wypaczenia psychiki ludzkiej, wreszcie o zagadnienie „neofaszystów” w zachodnich strefach Niemiec. Trudno bowiem odmówić słuszności publicystom wschodnich Niemiec, gdy rewizjonistyczne i nacjonalistyczne zapędy wyznawców polityki dolarowej nazywają właśnie neofaszystami. Niemcy Piecka i Grotewohla, których powstanie z taką radością witaliśmy niedawno, będą musiały wyzwolić siły społeczne zdolne do przeprowadzenia zwycięskiej walki o przyszłość swego narodu. Te siły społeczne, to wielomilionowy proletariatus robotniczy niemiecki, proletariatus mający wielkie tradycje walki klasowej za sobą, ale też i najperfidniej oszukiwany przez nacjonalistycznych ideologów, wstrząśnięty głęboko ostatnią wojną, gniebiony obecnie w zachodnich strefach zastraszającym się ciągle kryzysem gospodarczym. Na kryzys zaś neofaszysty z Bonn mają skuteczne lekarstwo — nowa wojna, wojna odwetowa.

Postępowi Niemcy z niemiecką klasą robotniczą na czele podjęli od 1944 r. walkę o to, by Niemcy były własnością ludu, by niemiecka polityka wynikała z interesów szerokiego mas ludności. Walka ta uwidoczniła się w sposób niezwykle charakterystyczny w związku z niedawnym obchodem 200-lecia urodzin Goethego. Nie jest to ani przypadek ani dowolne aktualizowanie spuścizny po wielkim poecie.

Dotychczasowa wiedza o Goethem miała charakter wybitnie reakcyjny i rewizja poglądów na twórczość wielkiego Weimarczyka jest zagadnieniem wielkiej wagi dla niemieckiej kultury umysłowej. Pytanie, czy nie większej nawet, w skali swej doniosłości społecznej, niż analogiczna u nas rewizja dotychczasowej oceny „wieszców”.

Wpływ i oddziaływanie Goethego na niemiecką literaturę, a co za tym idzie na niemiecką kulturę, są trwałe i bardzo znaczne. „Wiadomo — pisze prof. H. Mayer w artykule pt. „Spadek po Goethem”, zamieszczonym w nr 15 *Neu Welt* — że historię niemieckiej powieści, można by identyfikować z historią oddziaływania, lub lepiej, nieoddziaływania Wilhelma Meistra”. „Przez nieoddziaływanie” rozumie prof. Mayer słabnięcie w niemieckiej powieści wysokich wartości ideowo-wychowawczych, tak żywych w powieści Goethego. Prof. Mayer ukazuje jak poprzez powieści Gottfrieda Kellera, Immermanna, Freytaga, Wilhelma Raabe, schodzimy coraz niżej aż do

pesymistycznej koncepcji „Rodziny Buddenbrooków” Tomasza Manna. Nie jest to jednak „nieoddziaływanie”, lecz właśnie wpływ, kształtujący się zgodnie z postępującym rozkładem ideologii mieszczańskiej. Trudno postulować, by wielki realista i trafny obserwator upadku burżuazji niemieckiej, Mann, patrzył na społeczeństwo tak jak Goethe, największy poeta początkowych stadiów rozwoju i emancypacji niemieckiego mieszczaństwa spod jarzma feudalnych przeżytków. Mann, pesymista w „Buddenbrookach” jest tylko realista, kontynuującym tradycję powieści Goethego.

O wiele donioślejszy jest wpływ Goethego na poezję niemiecką. Przedstawiciele żadnej z późniejszych formacji literackich nie mogli przejść obojętnie obok spuścizny Goethego. Przybyszewski w „Moich współczesnych” widzi w modernistycznej cyganerii niemieckiej magiczny jakiś krag Goethego, z którego literacy dekadenci ani rusz nie mogli wybrnąć. Do wielkiego twórcy „Fausta”, tak jak i do Schillera, nawiązywali formalnie, a w swoim rozumieniu nawet i ideowo pisarze reżimowi narodowego socjalizmu. Oczywiście dzieło się to mogło tylko przy zasadniczym skrzywieniu wielkiego dorobku ideowego poety.

Tak sobie wielkiego humanistę, człowieka kochającego życie i umiającego je mistrzowsko interpretować „przykroili” do swoich potrzeb bismarkowscy mieszcianie, potem zaś czciciele czystej i poza popędem seksualnym, abstrakcyjnej, sztuki, a wreszcie rasiści? O ile chodzi o zewnętrzne „przyswojenie sobie” twórczości Goethego, to odbywało się to wśród zamożnego mieszczaństwa bardzo prosto. Poetę ustawiano w luksusowych wydaniach na honorowym miejscu w szafach i podziwiano jako przedmiot narodowej chwały, czytano zaś coraz mniej. W zakresie ideologicznej interpretacji rozpoczęli ożywną działalność niemieccy uczeni. I tu właśnie okazuje się, jak słynna z „obiektywizmu”, „czysta nauka” niemiecka czuła była na zagadnienia polityczne i jak potrafiła do nich swe metody badawcze dostosowywać. Ta — podziwiana jeszcze gdzieś niedawno u nas — „dobra niemiecka szkoła”.

Reprezentatywną pozycję stanowić może „Historia niemieckiej literatury” Wilhelma Scherera, znana i u nas oraz uważana do dziś za pierwszą współczesną, naukową historię literatury w Niemczech. Autor, po skrupulatnych badaniach filologicznych, przechodzi do badań nad genezą twórczości Goethego i wywodzi ją, jak i cały współczesny okres światowej literackiej, z „czynów Fryderyka Wielkiego”. Ta historyczna ocena prusacka jako pozytywnego czynnika w rozwoju Niemiec i zestawienie „wielkiego Fryca” z wielkim Goethem jakże znamienne są w ustach bismarkowskiego profesora literatury! I Scherer i z jego szkoły wyrosły autor biografii Goethego (1913) Richard M. Meyer uwa-

żają poza tym, iż szczególnie koryzystnym dla autora „Goetza von Berlichingen” był pobyt na weimarskim dworze Karolą Augusta. Kontrakt z arystokracją miał mieć jakiś uszlachetniający wpływ na Goethego. Wyglądało by to na ironię wręcz, gdy zdamy sobie sprawę że stopnia rozkładu, jakiemu ulegały dwory 290 niemieckich pół-feudalnych i półmieszczańskich państewek. Lecz brzmi to zupełnie serio w ustach burżuazji niemieckiej serwilistycznej wobec dworu i marzącej o awansie do kręgów arystokracji. By skończyć z smętnym okresem „narodowo-liberalnego” okresu nauki niemieckiej, warto zacytować jako curosum sąd wspomnianego Scherera o „Fauscie”. Uważa on, iż jest to koncepcja pochodząca z młodzieńczego jeszcze okresu Goethego, który we Fryderyku Wielkim czci „ideał czynnego życia”.

Impresjonizm w krytyce literackiej pozostawił nam inny znów widzenie Goethego. Zgodnie z dekadentkami koncepcjami estetycznymi trzeba było Goethego oderwać radykalnie od wszelkich warunków społecznych, stworzyć z niego wielkość „samą w sobie”, zrozumieć jego przeżycia pierwotne. Nie była to bynajmniej negacja utylitarnego wyzyskania i interpretacji Goethego przez wcześniejszą krytykę mieszczańską. Wręcz przeciwnie — była to afirmacja nowego stosunku kultury burżuaznej do sztuki. Brakowi perspektyw rozwojowych kapitalizmu i brakowi już w początkach XX wieku atrakcyjnych haseł politycznych odpowiada koncepcja „sztuki dla sztuki”, koncepcja odrębiania sztuki i mitologizowania samego twórcy.

Droga od Goethego-mitu, od koncepcji nadczłowieka opętanego „szaleństwem” do Goethego-mitologa rasizmu była łatwa i nie nastroczała też nauczyciela hitlerowskiej żądnych trudności. Ukoronowaniem tych zabiegów było dzieło Kurta Hildebrandta „Goethe” (1941). Goethe, arcydzieło czystej krwi, zapowiadał całą swą twórczością epokę wodzów, Bismarcka i Hitlera. Nie znajduje autor na to wielu dowodów w twórczości Goethego, ale od czego są przejęte w spadku po modernistach subiektywne metody interpretacyjne!

Wstecznej interpretacji twórczości Goethego wypowiedziano w demokratycznych Niemczech nieubłaganą walkę. Ślady jej znajdujemy we wszystkich niemal próbach syntetycznego spojrzenia na Goethego z okazji ostatniego jubileuszu. Najpełniej dążenie to wyraziło się w rozprawie „Goethe w historii literatury” pióra Paula Rilla zamieszczonej w poświęconym Goethemu 16-ym numerze „*Neue Welt*”. Autor pewnie operujący marksistowską metodą badania historyczno-literackiego, przeprowadza ocenę krytyków Goethego do Tomasza Manna włącznie. W tym samym numerze „*Neue Welt*” zamieszczone zostały obfite wyjątki z jubileuszowych przemówień wielkiego pisarza w 1932 r. (stulecie śmierci Goethego) i z tegorocznego w Weimarze. Znamienna różnica — w r. 1932 Mann usiłował pozytywne wartości ideologii Goethego rzucić jako hasło „udrławiające” niemieckie mieszczaństwo. Przewrót z 1933 r. mógł Manna dostatecznie pouczyć, czy „udrławienie” mogło wyjść od klasy, której był w Niemczech ostatnim wielkim literackim przedstawicielem. W 1949 musi Mann nawiązać do wychowawczej wartości Goethego, wykraczającej daleko poza bezideowe koła schyłkowego mieszczaństwa — musi uznać postępową rolę twórczości Goethego.

Walka z wsteczną interpretacją twórczości nawet tak wielkiego poety jak Goethe, mogłaby się wydawać dość drobnym wycinkiem „bitwy o nowe Niemcy”. Tylko pozornie. Aby podważyć bowiem tradycyjne sady o pisarzu, trzeba jednocześnie dać nową, postępową interpretację zjawisk historycznych i społecznych. A to znaczy zaatakować pozycję, jakie dotychczas zajmował „Wielki Fryderyk, Bismarck, idealistyczna koncepcja narodu niemieckiego (tak, choć to brzmi nieco paradoksalnie, hitleryzm jako ideologia nierozdzielnie związana jest z idealistyczną filozofią niemiecką) — jednym słowem zaatakować w mentalności Niemca „prusactwo” — zjawisko o którym Marx dosadnie powiedział, że „czegoś bardziej wszawiego historia świata nie widziała”.

W ślad za zdecydowanym atakiem, negacją dotychczasowego poglądu na największego niemieckiego poety, musiała nastąpić próba nowej oceny jego twórczości. Czytałem kilkanaście artykułów, krótszych lub dłuższych rozpraw, poświęconych — w związku z tegorocznym jubileuszem — ocenie Goethego. Trzeba podkreślić syntetyczny charakter większości rozpraw. Postępowa krytyka niemiecka postanowiła z chwałębną systematycznością uporać się najpierw z najważniejszymi zagadnieniami Goethego, z problematyką społeczno-historyczną, z obrazem ideologii poety i oceną jej historycznej i aktualnej wartości. Bardzo słuszne uwzględnienie hierarchii potrzeb w doborze tematu krytyki trzeba podkreślić z największym uznaniem — gdybyż to tak i u nas zaczęto pisać przyczynki we właściwym czasie i we właściwych wymiarach!

Prace zawarte w jubileuszowych numerach literackich czasopiśm niemieckich są bezwzględnie poważnym

materiałem do przyszłej, odpowiadającej współczesnej wiedzy literackiej, monografii Goethego. Analiza społeczna i polityczna okresu, w którym żył i działał Goethe (najciekawiej może przedstawiona w rozprawie A. Ackermann: „Współobywatel przyszłości” drukowanej w 16 numerze „*Neue Welt*” i E. F. Schera: „Goethe i nędza niemiecka” z Nr 8 — 1949 „*Aufbau*”) opiera się na materialistyczno-dialektycznej metodzie i prowadzi do trafnych sformułowań. Słusznie podkreśla się różnice między oświeconym mieszczaństwem francuskim, a rozbitym państwowo i uzależnionym od rozkładającego się feudalizmu mieszczaństwem niemieckim. Artykuł H. Kamnitzera: „Weimar między Poczdamem i Paryżem” przekonująco demaskuje junkierski absolutyzm państwa pruskiego. Autor wykazał, że sfrancuziały Fryz w praktyce politycznej nie realizował żadnych haseł „oświecenia” — dalej zaś, że młody, a również i dojrzały, Goethe ideowo był zupełnie obcy Hohenzollernom. Wszystkie znane mi rozprawy zwracają dużą uwagę na ideologię mieszczańską okresu „burzy i naporu”, na związki tej ideologii z francuskim ruchem mieszczańskim, podkreślają antyfeudalny charakter twórczości młodego autora „Goetza” i „Werthera”.

Duży kłopot sprawia trafne wyjaśnienie pełnego rezerwy stosunku Goethego do burżuazji rewolucyjnej francuskiej. Krytycy niemieccy podkreślają dysproporcję rozwoju ekonomicznego Francji i niezdolnych wówczas do żadnych ruchów rewolucyjnych Niemiec. To słuszne, ale to nie tłumaczy, dlaczego Goethe „teoretycznie” chociażby nie sprzyja rewolucji? Nie grały tu żadnej roli uczucia patriotyczne, ale właśnie sprawa przynależności klasowej Goethego. Myślę, że dla trafnej oceny stanowiska Goethego konieczna jest analiza poszczególnych stadiów jego stosunku do Wielkiej Rewolucji. Wybuch rewolucji wita Goethe wielkimi nadziejami, karta „praw człowieka i obywatela” budzi w nim wręcz entuzjazm. Dopiero wzmógł się ruch plebejski i okres terroru, który zagraził stanowi posiadania burżuazji francuskiej budzi jego sprzeciw. Nie jest ważne, że sprzeciw ten powstał w nim w imię abstrakcyjnego humanizmu, ważne natomiast, iż Goethe zajmuje tu dokładne to samo stanowisko, co kontrrewolucyjna wówczas burżuazja francuska, która zlamana jakobinów, wprowadziła wraz z rządami dyrektorów reakcyjny cenzus wyborczy i potulnie poddała się dyktaturze wojskowej Napoleona. A Napoleon, symbol prawnej stabilizacji panowania zwycięskiego mieszczaństwa, właśnie przez Goethego przyjęty był z entuzjazmem. Goethe jest bardzo typowym przedstawicielem świata mieszczańskiego I w jego rewolucyjnym, „bohater-skim” okresie i w okresie stabilizacji. A tragizm jego pozorne „olimpjskiej” i spokojnej postawy wobec życia polega na tym, że zbyt trafnie to życie mieszczańskie obserwował, zbyt „humanistycznie” je cenił, by nie dostrzegać wyraźnych śladów bankructwa ideowego. Bankructwa ideowego otaczającego go kompleksu zjawisk, które Engels nazwał „nędzą niemiecką”.

„Goethe nie był w stanie przezwyciężyć nędzy niemieckiej — na odwrót, ona go pokonała i to jej zwycięstwo nad największym Niemcem jest najlepszym dowodem tego, że „od wewnątrz” tylko niczego się nie przezwycięży”.

To sformułowanie Engelsa jest punktem wyjścia badań konfliktów ideowych Goethego-realisty. Nieśluszenie też usiłują niekiedy ze wspomnianych krytyków dowieść, iż druga część „Fausta” jest jakoby przezwyciężeniem tej inercji życia mieszczańskiego. Jest to próba przezwyciężenia, ale właśnie „od wewnątrz” — oderwana od realnej bazy społeczno-ideowej, zmieniała się w ucieczkę w świat fantastyczny. Jest to w pewien sposób analogiczne do prób przezwyciężenia ciasnych ram ówczesnego realizmu mieszczańskiego przez Słowackiego. To przezwyciężenie też „od wewnątrz”, bez wyraźnych możliwości poparcia, czy też raczej oparcia o postępową ideologię społeczną, zamieniło się, jak wiadomo, w ucieczkę w świat mistycznyzmu historyzoficznego.

Wielokrotnie porusza postępową krytyka niemiecka sprawę „spadku po Goethem”. Trzeba jej oddać sprawiedliwość, iż w pełni jest tu zrozumiane i ocenione stanowisko ideologii marksistowskiej, przywiązując tak wielką wagę do przyswojenia wartościowych elementów kultury burżuazji proletariackiej. Sławne sformułowanie Lenina o „przyswajaniu wszystkiego co wartościowe w dwutyścym rozwoju ludzkiej myśli i kultury nowej kulturze socjalistycznej” jest naczelną tezą w ocenie roli Goethego w życiu postępowych, demokratycznych Niemiec. Podkreśla się wielką rolę wychowawczą poezji Goethego i jego głęboko humanistycznego stosunku do człowieka. Nie obyło się jednak przy interpretowaniu roli Goethego-wychowawcy bez pewnych, nieznacznych naleciałości idealistycznych.

Jubileusz Goethego i walka o nową postawę wobec genialnego poety ma jeszcze jeden wyraźnie aktualny i wyraźnie polityczny aspekt. Oto nie można ani na chwilę zapominać, że w Niemczech zachodnich niemal

oficjalnie proguguje się neofaszysty, że wszystkie tradycje junkiersko-hitlerowskie kwitują tam w najlepszym, Jak tam wyglądał jubileusz Goethego? Należy zdać sobie sprawę, że wspomniane przeze mnie prace postępowych krytyków niemieckich są między innymi zdecydowaną odprawą wobec nowych prób antyhumanistycznej, wroglej interesom kultury niemieckiej rewindykacji Goethego przez międzynarodową reakcję. Nie robi się tego wprawdzie tak rażąco bezceremonialnie jak w latach hitlerowskiego reżimu, gdyż i ambicje narodu panów zmalały. Goethe nie jest teraz prorokiem narodowego socjalizmu. Zmienił się w „boskiego olimpijczyka”, doskonałego kosmopolitę i piewę wyabstrahowanych uczuć ludzkich. Czy to nawrót do krytyki modernistycznej?

W pewien sposób tak, ale też chodzi tu o przemycenie bardzo aktualnych zagadnień kulturalno-politycznych. O coraz silniejszą penetrację burżuazji i kosmopolitycznej pseudokultury, za którą stoi dolarowy kapital.

Jubileusz Goethego to dość niespodziewany dla wyznawców „czystej nauki” sposób może wykazać, jak zagadnienia historyczno-literackie bardzo są „polityczne”.

Krytyka marksistowska nowych Niemiec walczy jeszcze nie zawsze sprawnie i z trudnościami metodologicznymi i z trudnościami odcierania się od wstecznej tradycji. Już teraz jednak wypełnia swe odpowiedzialne zadanie w wielkiej bitwie o nowe, twórcze w rodzinie demokracji europejskiej Niemcy.

Stefan Treugutt

GRZEGORZ LASOTA

\* \* \*

Opadają kartki  
opadają dnie  
opadają pocałunki  
jest słońce

w płamach Van Gogha  
w pogodzie Matisse  
w świetle van Rinn  
jest słońce

w jej oczach  
które są jego oczami  
jest słońce  
na polach kołchozu  
„Budujniyj”

jest słońce  
opadają kartki  
opadają dnie  
szukam słońca  
jest —

ZYGFRED SAWKO

## Wśród pobojo-wisk

Dziś koła motają tu drogę błotnistą  
Na sprzecz  
— I kopyta dusząc się kaszlem,  
Do upadłego brną w szarugach.

We mgłę zawieszę  
Koń uszami strzygąc przylecia  
I nie śmie stapać. Znasz-li  
Ten kraj? Wicher u czasu pługa.

Ocieram z czoła pot kroplisty.  
Czyż nowe widmo wojny w polu czyha?  
Czemu choćbydem trawy nie wypaślił?  
Byliną czarną porośł ugor.

Zasieki koleczaste na ziemi porytej  
I miny ukryte  
I bunkry, okopy...  
Lśnią kości, których nie ukrył  
Zbyt nikły ciał ludzkich popiół...

Koń staje i strzyże uszami.  
Na polu wicher w hełmie.  
Ruszysz tu traktorami  
Uprawiać ziemię.

MARIAN NARCZY LISTOWSKI

## Rzeka

Powoli rzeki płyną dolinami.  
Może to dzieci kluczem dzikich gęsi,  
echem fujarek przez łaki otworzą  
drogę daleką do sinego morza.  
A może łódce płynące przed nami  
kierunek poda dłoń dziewczyny  
z brzegu — nuta jej pieśni  
— trzeba aż skrzydeł pożyczyc od gąski  
by z innych krajin przybyć na brzeg łąski.

Jednakomyja fale borów głębie.  
filary mostów, które ponad sobą  
podają rzędy wagoników z węglem.  
Oto jest rzeka — tłem, ozdoba pieśni  
ludzi od siebie oddzielając razem.  
A oto mosty jak złazcone dionie  
szyn długich stała i filarów głazem.

ZYGMUNT KROGULSKI

## Wszystkimi ścieżkami pójdziemy

Chcą by armaty utyli chlebem  
gdy bojażń odgradza grzechy  
a ludzie czernieją od głodu  
Ale my nie zamieszkamy  
pod kardynalskim niebem  
i mnie będzie wtedy radośniej  
i matce z dzieckiem u piersi

Nie wolm do Boga: ratuj  
Do człowieka wolam: człowieku  
daj dłoń i stawaj w szeregu  
pieśnią rozderzemy ciemność.  
Jeśli swój uśmiech porównasz  
do kwiatu otwierającego się wiosną  
będziesz i ty współzawodniczył ze mną  
wpleciony w krag miłości —  
Tak na imię mojemu b. 1949

Jest mi dobrze  
bo zbliżyłem do siebie człowieka  
zbliżyłem do siebie  
Jego serce mam na dłoni  
sam je przecież wyjąłem —  
nóż piersi nie odmykał  
gardło nie płuło krwią  
Dotąd nie szliśmy razem  
zabijali nas oni  
zabijali was oni.

Licę każdy uśmiech  
jak żelbetonowe stopnie na piętro  
stopnie ku przyszłości  
gdzie dojsz mamy razem  
W marszu własnych stóp tak  
rozdmy innym  
rozdamy ludziom z brązu  
z którymi teżały biały ptak  
w klatce z siatki geograficznej —  
pokoju biały ptak  
i ludzie z brązu.

Głupia filozofia  
że ludy ruszyć nie mogą —  
ja przeczę  
bo droga jest —  
ta którą przeszło nowonarodzone dziecko  
i święty dla wszystkich chleb  
wśród wiatów.

ZDZISŁAW TOR

## POWIEŚĆ O NIEMCZECH\*)

Wydana ostatnio przez „Czytelnika” książka Anny Seghers\*) stanowi retrospektę spojrzenie na dzieje Niemiec od roku 1919 aż niemal po ostatnią katastrofę.

Postacie książki reprezentują wszystkie, współcześnie trwające w Niemczech, klasy społeczne. Przy czytaniu uderza fakt, że najbardziej wnikliwie zostały scharakteryzowane postacie należące do środowisk: przemysłowców (rodzina Klemm), junkrów (von Wenzlow, von Lieven) i bogatych chłopów (Wilhelm Nadler). Te wszystkie grupy zespala wspólna, płynąca z klasowego egoizmu, nienawiść do rewolucji, do idei postępu, eprz i towanej przez uświadomi proletariatu. Nienawiść zespala tych ludzi i czyni z nich ostoję szowinistycznej reakcji, a w skutkach — dzwignię ruchu hitlerowskiego. Bankierzy i przemysłowcy wiążą się z narodowym socjalizmem w nadziei, że zlikwiduje ich śmiertelnego wroga — klasowy ruch robotniczy, że za zabezpieczy ich banki i fabryki, ich zyski, a w dalszej perspektywie odda na łup ich imperialistycznej zachłanności olbrzymie rynki zagraniczne. Chłop i obszarnek są zadłużeni, rolnictwem wstrząsa kryzys gospodarczy; poparcie więc ruchów nacjonalistycznych („Stahlhelm”, hitleryzm) przez te grupy, wiąże się z nadzieją, że w chwili objęcia władzy, nastąpi oddłużenie wsi, że bankierzy, kupcy, przemysłowcy, speculanci będą musieli ponieść odpowiedzialność na rzecz rolnictwa. Z głęboką przenikliwością obrazuje Seghers te sprzeczności. Z niemieckim realizmem ujawnia nikczemny upadek moralny oficerów dawnej armii cesarskiej, a później Reichswehry. Ludzie ci gardzą Hitlerem — prostakiem — a przecież popierają go w nadziei że kiedyś uda się go odsunąć, a z klitki wojskowej uczynić decydujący czynnik w państwie.

Bolesnie zarysowuje się problem młodzieży, której większość staje po stronie brutalnego barbarzyństwa Wygodniał i bezrobotnej młodzieży hitlerizm daje doraźnie nie tylko pożywienie z kotła, ale i z tej nacjonalistycznymi mirażami.

Tyle więc sił sprysięgło się przeciw proletariatusi walczącemu o wolność, o chleb, o postępowe społeczeństwo, o sprawiedliwy świat społeczny stoją jedynie: proletariatus fabryczny i bezrolni chłopci. Dlaczego jednak ten świat pracy nie potrafił zdruzgotać sił reakcji? Odpowiedź na to pytanie została zawarta w książce Anny Seghers: Przywódcy socjal — demokracji niemieckiej zesłali z drogi rewolucyjnego marksizmu, zawierając sojuz z burżuazją. Za nimi poszedł poważny odłam proletariatus, co ufający swym przywódcom. Głęboka przepaść ideologiczna dzieli więc socjal — demokratę Geschke’go od komunisty Triebła, a bezrolny chłop, Krystian Nadler, solidaryzuje się z proletariatusem fabrycznym niejako konspiracyjnie. Rewolucyjny entuzjazm Geschke’go okazuje się bezużyteczny; kiedy w roku 1933 wyciągł się z ukrycia przechowywany karabin, by bronić sprawy wolności, nikt z przywódców partyjnych nie wezwie go na barykady — nie pozostanie nic innego, jak schować broń z powrotem.

Rozdarcie uchu robotniczego, niedostateczny sojusz robotników z proletariatusem wiejskim, to istotne czynniki, które w Niemczech umożliwiły dojście Hitlera do władzy. Książka jednak pozostawia wrażenie optymistyczne. Mecenstwo komunisty Triebła w obozie koncentracyjnym i tragiczny smutek socjalisty Geschke’go posiadają swoje głębokie znaczenie. Róża Luxemburg, Karol Liebknecht i ta bezimienna rzesza klasowo uświadomionych robotników niemieckich to żywa tradycja, to nieci przerwane brutalnie, do których w procesie wychowania narodu niemieckiego można i powinno się nawiązać. Obserwując działalność SED we wschodniej strefie Niemiec, oglądając powstanie Niemieckiej Republiki Demokratycznej, mamy przekonanie, że Niemcy odnajdują swe miejsce w światowym obozie pokoju i demokracji.

Zdzisław Tor

\*) Anna Seghers, „Umarli pozostają młodzi”, „Czytelnik” 1949.



MIKOŁAJ OSTROWSKI

# JAK HARTOWAŁA SIĘ STAŁ<sup>\*)</sup>

Jesienny deszcz chłustał w twarz. Nisko nad ziemią pelży ciemnoszare, nabrzmiałe wilgocią chmury. Późna jesień ogoliła lesne hufce, nasepiła się wiewiorki starej — graby, chwastując zniszczone kory pod brunatnym mchem. Bezlitosna jesień zerwała z nich wspaniałe szaty i stały teraz nagie i wynędzniałe.

Samotnie wśród lasu przykucnęła mała stacyjka. Od murowanego placu ku towarom odchodził w głąb lasu pas rozkopanej ziemi. Niczym mrówki oblepił go ludźmi.

Lepka gлина ohydnie mlaśkała pod butami. Ludzie z zawziętością krztali się przy nasypie. Głuchozgryztały żelazne drągi, łopaty skrobały kamień.

A deszcz siał przez drobne sito i zimne krople przenikały skroś odzieży. Deszcz zmywał pracę ludzi. Niczym gęsta kasza spiełała gлина z nasypu.

Jakże ciężka i zimna jest przemoczona do ostatniej nitki odzież, lecz ludzie porzucali pracę dopiero późno wieczorem.

I z każdym dniem pas zrytej i spulchnionej ziemi coraz głębiej i głębiej wrzynał się w las.

Niedaleko od stacji ponuro garbił się murowany szkielet budynku. Wszystko, co dało się wypatroszyć, zdjęć lub zerwać, wszystko to dawno zagrabiała ręka maruderów. Zamiat okien i drzwi — otwory, zamiat drzwi przy piecach — czarne dziury. Przez szpary zerwanego dachu widać zebra krowki.

Ostała się jedynie betonowa podłoga w czterech obszernych pokojach. Na niej kładło się nocą czterystu ludzi w ubraniu przemoczonym do nitki i oblepionym błotem. Ludzie przed drzwiami wycinali odzież, ściekali z niej brudne strumienie. Siarczyskie kłaki diabły deszcz i błoto. Zwartymi rzędami kładli się na betonowej podłodze zlekką przypośroń słońca. Ludzie starali się nawzajem ogrzać. Odzież parowała, lecz nie wysychała. A przez worki zawieszane na ramach okiennych sączyła się na podłogę woda. Deszcz bił gęstym strumem w resztki żelaza na dachu, a w szpary drzwi dmuchał wiatr.

Rankiem pili herbatę w starym baraku, gdzie mieściła się kuchnia i udawali się na nasyp. Na obiad jedli zabójczą przez swą jednostajność posną soczewicę i półtora funta czarnego jak antracyt chleba.

To było wszystko, co mogło dać masło.

Kierownik techniczny, suchy, wysoki straszak, z dwiema głębokimi bruzdami na policzkach — Walerian Nikodimowicz Patoszkina i technik Wakulenko, krepki, o mięsistym nosie na z grubą ciętą twarzą, ułokowali się w mieszkaniu naczelnika stacji.

Tokariew nocował w pokoju czelstym stacyjnego Cholawy, krótkonogiego, ruchliwego jak rzeź.

Oddział budujący kolejkę z wściekłym uporem znosił wszelkie niedostatki.

Nasyp z każdym dniem coraz dalej wchodził się w las.

Oddział liczył już dziewięć dezerterów. Po paru dniach uciekło jeszcze pięciu.

Pierwszy cios spadł na budowę w drugą tygodniową wieczorową pociąg nie przywiózł z miasta chleba.

Dubawa zbudził Tokariewa i zakomunikował mu o tym.

Sekretarz kolektywu partyjnego spuściwszy na podłogę wlochatę nogi gniewnie poskrobał się pod pachą.

— Zabawa się zaczyna! — mruknął pod nosem szybko się ubierając.

Do pokoju wtoczył się jak kula Cholawa.

— Wal do telefonu i dodzwonił się do wydziału specjalnego, — rozkazał mu Tokariew. — Ty zaś, co do chleba, — uprzedził on jednocześnie Dubawę, — nikomu ani słowa.

Po półgodzinnym wymyślaniu telefonistom całej linii natężył Cholawa uzyskał połączenie z zastępcą naczelnika wydziału specjalnego, Żuchrajem. Słuchając jego wymysłów Tokariew niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Co? Chleba nie dostarczono? Zaraz się dowiem, czyja to robota, — z groźbą w głosie zahuczał w słuchawkę Żuchraj.

— Powiedz mi lepiej, czym jutro nakarmimy ludzi? — gniewnie krzyczał w słuchawkę Tokariew.

Żuchraj widocznie coś obmyślał. Po długiej pauzie sekretarz kolektywu partyjnego usłyszał:

— Chleb dostarczymy w nocy. Pośle z samochodem Litkiego, on zna drogę. Nad ranem chleb będzie już u was.

Skończyła stacja zajeżdżała ostryżana błotem ciężarówka naladowana workami z chlebem. Wysiadł z niej zmęczony i popadły wskutek bezsennej nocy Litke — syn.

Walka o budowę kolejki zastrzałała się. Z zarządu kolei doniesiono: nie ma podkładów. W mieście nie znajdowano środków potrzebnych dla przetransportowania na budowę szyn oraz parowozików, a i same parowoziki wymagały poważnej naprawy. Pierwsza partia kończyła już robotę, a zmiany nie było. Zatrzymanie zaś wyprzedzających do cna ludzi wydawało się niemożliwością.

W starym baraku przy świetle kaganka do późnej nocy naradzał się aktywny.

Z rana pojechali do miasta Tokariew, Dubawa i Klawiczek, zabrawszy ze sobą jeszcze sześciu dla wyremontowania parowozików i dostawy szyn. Klawiczka jako zawodowego piekarsza wydelegowano dla skontrolowania wydziału apropracyjnego, a pozostałych do Puszce — Wodnicy.

A deszcz wciąż lał.

Korczagin z trudem wyciągnął z lepkiego błota nogę i poczuwszy chłód w stopie zrozumiał, że zgniła

podeszwa buta zupełnie odpadła. Od samego przyjazdu tutaj wciąż cierpiał z powodu kiepskich butów, zawsze wilgotnych i mlaśkających błotem; obecnie zaś jedna podeszwa zupełnie odpadła i gołą nogą stapał po przenikliwie zimnej gliniastej kaszy. But czynił go niezdatnym do pracy. Wydobywszy z błota resztkę podeszwy Paweł spojrzął na nią z rozpaczą i złał dane sobie samemu słowo, że nie będzie więcej kłat. Z resztką swego buta poszedł do baru. Usiadł obok kuchni polowej, odwinął zabłoconą onucę i przybliżył do piecyka zdrętwiałą na chłdzie nogę.

Na stole kuchennym krajała bułki Odarka, żona droźnika, którą kucharkę wziął sobie do pomocy. Natura nie poskapiła bynajmniej nie starej jeszcze droźnikowej swych darów: po męsku szeroka w ramionach, o atletycznym bicepsie i jedynych potężnych biodrach, umiejętnie operowała nożem i na stole szybko rosła góra nakrajanych jarzyn.

Odarka obrzuciła Pawła lekceważącym spojrzeniem i niechętnie zapytała:

— Cóż to, czy już na obiad dybiez? Trochęczkę za wcześnie. Widać od roboty, chłopaczku, się wykrecaz. Gdzie ty nogi pakujesz? To przecie kuchnia, a nie żadna laźnia — wzięła w obroty Korczaginę.

Wśród kucharkę, człowieka w podeszłym wieku.

— But rozleciał mi się w kawałki — objaśnił obecność swoją w kuchni Korczagin.

Kucharkę obejrzał sfatygowany but i kiwnął głową w stronę Odarki:

— Jej mąż jest po trosze szewcem, będzie mógł coś zaradzić, gdyż bez obuwia to kłeska.

Słuchając słów kucharkę Odarka przyjrzała się Pawłowi i trochę się zawstydziła.

— A ja miałam was za próżniaka — przyznała się.

Paweł uśmiechnął się pobłaźliwie. Odarka obejrzała but doświadczonego okiem.

— Łatać go chłop mój nie będzie — to nie da, lecz żebyś nie pokaleczył sobie nogi, przyniesiemy ci stary kalosz, wala się u nas taki na strychu. Gdzieś to widziane, by się tak mordować! Nie dziś to jutro weźmie mróz, a wtedy zginiecie — już współczująco mówiła Odarka i odłożywszy nóż wyszła.

Wkrótce wróciła z głębokim kalosem i kawałkiem płótna. Gdy owinęła w płótno i ogrzana noga wsunęła się do ciepłego kalosza, Paweł z milczącą wdzięcznością spojrzął na droźniczkę.

Tokariew wrócił z miasta zirygowany, zwołał do pokoju Cholawę aktywny i podzielił się nowościami.

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

Przekład E. Słobodnikowej

## W ZWIĄZKU RADZIECKIM

jeszcze nie wiadomo. Mrozy za pasem. Do tego czasu choćbyśmy mieli skończyć, musimy przejść przez błoto, gdyż potem to nawet zębami nie ugryziesz. A więc, chłopaki, w mieście weźmie się w karby tych wszystkich, którzy się pałętają, a my tutaj musimy podwoić szybkość. Pięć razy zdechnij, a odnoga musi być zbudowana. W przeciwnym razie jacy z nas byłiby bolszewicy — sami magaję — mówił Tokariew nie swoim zwykłym ochrypłym basem, lecz natężonym stalowym głosem. Oczy jego błyskając spod nawisłych brwi mówiły o stanowczości i uporze.

— Dziś jeszcze odbędziemy tajną naradę, wytłumaczymy o co chodzi naszym ludziom i wszyscy zabierzemy się jutro do roboty. Rano odprowadzimy bezpartyjnych, sami zaś zostaniemy. Oto decyzja komitetu gubernialnego. — wręczył on Pankratowowi złożony we czworo arkusz.

Przez ramie tragarza Korczagin przeczytał: „Uważać za niezbędne pozostawienie na budowie wszystkich członków komsomolu, zezwalając na zmianę nie wcześniej niż po pierwszej dostawie drewna. Za sekretarza komitetu gubernialnego R. Ustinowicz”.

W ciastym baraku nie sposób przejść. Natłoczono się w nim stu dwudziestu ludzi. Stali przy ścianach, ułokowali się na stołach i nawet kuchni.

Zagali zebranie Pankratow. Tokariew mówił niedługo, lecz ostatnie jego słowa wszystkich zdruzgotały:

— Jutro komuniści i komsomolcy do miasta nie pójda.

Ręka starca podkreśliła w powietrzu całą nieodwołalność decyzji. Gest ten zniweczył ich nadzieję na powrót do miasta, do swoich, na wydosłanie się z tego błota.

W pierwszej chwili nie można było nic zrozumieć z rozlegających się okrzyków. Od ruchu ciał niespokojnie zamigotał płomyk ślepowego kaganka. Mrok zasnuł twarz. Zgiełk wzmagął się. Jedni mówili marzycielsko o „przylotności domowego ogniska”, inni oburzyli się i krzyczeli, że są zmęczeni. Wielu milczało. I tylko jeden oświadczył, że zdezerteruje. Podrażniony głos z kąta rzucił na przemian z przekleństwami:

— Do jasnej cholery! Nie zostanę tu ani jednego dnia! Zsyła się ludzi na katorgę przynajmniej za jakieś przestępstwo. A nas za co? Trzymano nas dwa tygodnie — wystarczy. Nie ma durniów. Niech ten, co to postanowił, sam przyjedzie budować. Kto chce, niech w tym błocie się babrze, a ja mam tylko jedno życie. Jutro wyjeżdżam.

Okuniew, z którego plecami stał ów krzykacz, zapalił zapałkę chcąc zobaczyć dezertera. Zapałka na sekundę wydarta z mroku wykrzywną ze złości twarz i otworzyła usta. Okuniew poznał go: był to syn buchaltera okręgowej komisji apropracyjnej.

— Czemu się przyglądasz? Nie ukrywam się, nie jestem złodziejem.

Zapałka zgasła. Pankratow wyprostował się.

— Któż to tak rozpuścił pysk? Dla kogoż to polecenie partyjne jest katorgą? — przemówił głuchym głosem, wodząc po stojących blisko niego ludziach ciężkim spojrzeniem. — Chłopaki, do miasta wracać nijak na mnie wolno, nasze miejsce jest tutaj. Jeśli damy stąd drapak, ludzie zamarną. Chłopaki, im szybciej skończymy, tym rychlej wrócimy, a więc stąd, jak chcecie jakiś tam magaj, nie pozwalam nam ani naszej idea ani karność.

Tragarz nie lubił wielkich przemówień, lecz i to krótkie przerwał mu wciąż ten sam głos:

— A czy bezpartyjni odjeżdżają? — Tak — odciął Pankratow.

Do stołu przycisnął się młodzieniec w krótkim palcie miejskim. Mała legitymacja niczym nietoperz wywróciła ponad stołem kociołkę, odbiła się o pierś Pankratowa i upadła na stół na sztorc.

— Oto legitymacja, proszę, weźcie ją sobie. Dla takiego świstka tekstury nie poświęcę zdrowia!

Koniec zdania zagłuszyły miotające się po całym baraku głosy:

— Czym się ciskasz?

— Ach, ty, sprzedajno duszo!

— Do komsomolu się wkreci! dobrej posadki wypatrywał!

— My cię nauczymy, bakterio tyfusowa!

Ten, który rzucił legitymację, schylił głowę i przycisnął się ku wyjściu. Ustępował mu z drogi, jak zadżumionemu. Skrzypnęły zamknięte drzwi.

Pankratow ścisnął palcami rzuconą legitymację i przytknął ją do płomienia kaganka.

Tektura zarażała się zwiżając w zwęgloną rurkę.

\*) Mikołaj Ostrowski urodził się w 1904 r. Już jako chłopak piętnastoletni wstępuje do komsomolu i bierze udział w walkach z wrogami młodej republiki radzieckiej. Umiera w r. 1936 na skutek długotrwałej ciężkiej choroby, której nabawił się podczas wojny domowej.

„Jak hartowała się stał” jest powieścią autobiograficzną, aczkolwiek pisana w trzeciej osobie. Nie jest to jakiś niedolny pamiętnik, jakiego należałoby się spodziewać po człowieku, nie mającym nawet z sobą ukończoną dwuklasową szkołę, który zaangażowany od wczesnej młodości w walce nie miał czasu na dokształcanie się. Powieść ta posiada świadomą konstrukcję dojrzalego już dzieła. Jeśli styl jej nie jest jak to się mówi zapętlony na ostatni guzik, to jednak zdumiewa swoim żywym i barwnym językiem, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że, jak mówi o sobie w powieści na kilka lat przed zabiciem się, do jej napisania, w artykule, który próbował po raz pierwszy w życiu napisać do gazety, było ponad trzydzieści usterek stylistycznych i masę błędów ortograficznych. Zabrał się wówczas do ustnej pracy nad sobą i żelazną wolą dokonał tego, że już będąc sparaliżowany i ślepy, napisał powieść, która dawała w dalszym ciągu dale natchnienie młodzieży radzieckiej do pokonywania wszelkich trudności na drodze do zbudowania socjalizmu.

Z drukowanego poniżej fragmentu widać, z jakimi niesłychanymi trudnościami musiał borykać się pierwsze pokolenie komsomolców, odbudowujących kraj po zniszczeniach spowodowanych przez wojnę domową. W danym wypadku chodzi o jak najszybsze zbudowanie kolejki wąskotorowej, która miała służyć do przewożenia drewna i żywności do Kijowa. Byli i tacy, którzy się załamali, lecz młodzież komsomolska nie cofnęła się przed żadnymi trudnościami i przez zbudowanie kolejki uratowała wówczas miasto od głodu i chłodu.

E. S.

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —

— Wszędzie zatory. Gdziekolwiek pójdziesz, koła wszędzie się krecą, ale wciąż na jednym i tym samym miejscu. Małośmy jeszcze widać wywołali białych gagatki, aż do samej śmierci nie pozbedziemy się ich — referował stary na zebraniu. — Ja, chłopaki, powiem wam otwarcie: cała sprawa do łufy. Drugiej zmiany jeszcze nie zwerbowali, a ile osób przysłał —





W. Bielow w roli Miczurina

WACŁAW ŚWIERADOWSKI

## „CZARODZIEJ SĄDÓW” REWOLUCJONIZUJE PRZYRODĘ

Na ekrany kin polskich wprowadzono obecnie film, który obok niezaprzeczalnych walorów ogólnych posiada specjalne wartości poznawcze dla widza wiejskiego. Film ten wejdzie do głównego programu kin objazdowych, spełniając w ten sposób doniosłą rolę kulturalno-oświatową. Mam na myśli film o Miczurinie w reżyserii A. Dowżenki.

Film „Miczurin” to nie tylko biografia wielkiego samouka-biologa, to przede wszystkim lekcja nowego, rewolucyjnego poglądu na przyrodę, na świat.

Do czasów rozpowszechnienia nauki miczurinowski istniał pogląd, że natura jest niezmienna, że cechy poszczególnych gatunków przechodzą dziedzicznie z ojca na syna, że żadne dociekania naukowe, odkrycia, wynalazki nic nie zdołają zmienić w ustalonym od wieków trybie natury.

Główna część życia Miczurina przypada na okres powolnego konania caratu. W tych warunkach było niemożliwością, aby prosty chłop, na niewielkiej zagrodzie, z niewielkim także sadem, mógł zwrócić na siebie uwagę swymi doświadczeniami. Ludzie „z towarzysztwa” kpili z Miczurina, a przedstawiciele duchowieństwa wysmiewali i potępiali jego naukę.

Mimo to Miczurin niezrażony trwał przy swych doświadczeniach. Film „Miczurin” rozpoczyna sceną, w której dwaj uczeni amerykańscy, zainteresowani publikacjami na temat odkryć Miczurina, proponują mu odkupienie „ziemi wraz z sadem” i stworzenie dla niego w Stanach Zjednoczonych „okolic, przypominających jego kraj rodzinny” — byle tylko z nimi pojechał.

Miczurin jest jednak nie tylko rewolucjonistą w nauce, ale i prawdziwym rewolucyjnym patriotą. Nie sprzedaje się w niewolę kapitalowi amerykańskiemu, nawet za najbar dziej kuszące obietnice. Nie opuści kraju, mimo, że kraj ten traktuje go po macoszemu.

Miczurinowi nie zabrakło odwagi wyrwania aż do Wielkiej Rewolu-

cji Październikowej, która radykalnie zmieniła jego życie. Teraz doświadczenia Miczurina, wysmiewane przez sługusów cara, stały się potrzebne do planowej polityki gospodarczej Związku Radzieckiego.

Miczurin to nie tylko czarodziej sadów. Przy pomocy odważnych szepien osiąga nie tylko nowe, wspaniałe, mrozo odporne gatunki jabłek czy gruszek. Miczurin stwarza także gatunki zboża, które odznaczają się krótkim okresem dojrzewania. Można je hodować nawet na terenach daleko wysuniętych na północ. Tereny pszeniczne, tereny uprawy żyta przestają być ograniczone. Wszędzie, gdzie jest ziemia, a może rosnąć zboże!

Miczurin po Rewolucji pracuje w wielkim laboratorium, z roku na rok posuwa się drogą rewolucyjnych doświadczeń naukowych. Gromadzi uczniów i entuzjastów, zapowiada dalsze olbrzymie osiągnięcia w dziedzinie wykorzystania naturalnych sił przyrody. Mimo to nie przestaje być skromnym człowiekiem.

Miczurin gorąco kochał swój kraj, oddał mu cały swój talent, wiedzę. Związek Radziecki ocenił wybitne zasługi Miczurina, który otaczany był stałą opieką i pomocą Lenina, Stalina, Kalinina.

Miczurin samym sobą udowodnił, jak olbrzymie talenty drzemają w ludzkiej rosyjskiej. Dzisiaj młodzież Związku Radzieckiego uczy się w setkach wyższych uczelni, studiując między innymi i rozwijając doświadczenia i osiągnięcia Miczurina. Aleksander Dowżenko, opierając się na materiałach z życia Miczurina, zrealizował film barwny. Kinematografia barwna jest jakoby specjalnie predestynowana do tego rodzaju filmów. Przyroda żyje na ekranie w najpiękniejszych, naturalnych barwach.

Dubbing (podkład dialogowy) polski, wykonany celowo głównie z myślą o kinach objazdowych, jest poprawny. W każdym razie celowość polskiego podkładu w filmach przeznaczonych przede wszystkim dla wsi, nie budzi żadnej wątpliwości.

Wacław Świeradowski

## FAKTY I ZDANIA

### STWIERDZENIA I RADY

W 1946 roku wyszło w New-Yorku nowe wydanie słynnej książki Toqueville'a „Demokracja w Ameryce”, z przedmową prof. F. Bradley. Książka została napisana między 1833 a 1840 rokiem, przedmowa — jak powiedziano — w 1946 roku.

Otóż prof. Bradley — dowodzi, iż Toqueville pomylił się twierdząc, jakoby Ameryce zagrażała w przyszłości „tyrania większości”. Wreć przeciwnie dowodzi, Stanami Zjednoczonymi kieruje dziś „organizowany i skoncentrowany nacisk społecznej mniejszości, która dla przede wszystkim o swoje specyficzne interesy”.

Dalej tenże autor przedmowy polemizuje z tezą o prawie równości w Ameryce, w którym Toqueville widział „podstawy stabilizacji i postępu społecznego, gwarancji przeciwko rewolucji”. Ale o jakim równouprawnieniu można mówić w dzisiejszej Ameryce? — zapytuje prof. Bradley. Przeciwnie między nędzą i bogactwem zaostrzyły się w niemiejszej mierze niż w Europie.

W końcu szanowny profesor dowodzi, że jedyny ratunek może znaleźć imperializm amerykański w wierze (zapewne w dolar). Cóż można do tego dodać? Że dolarowa religia nie ratuje już kapitalizmu amerykańskiego przed kryzysem, mas — przed nędzą, a wasali Ameryki przed załamaniem gospodarczym.

K.

### KSIĄDZ ZWOLENNIKIEM ANALFABETYZMU

Ksiądz P. stara się wszelkimi siłami, aby na wsi utrzymać jak najdłuższą ciemnotę i zacofanie, bo wie, że ciemnego chłopca nie trudno wykorzystać.

Najpierw straszy go z ambony piekłem i diabłem za urządzanie zabaw po wykopkach w piątki, a następnie każe sobie przynosić „na ofiarę” nie tylko pieniądze, ale ziemniaki, żyto i inne produkty żywnościowe i zostawiać w kuchni na plebanii, gdzie stoją już specjalnie przygotowane skrzynie i worki.

Przy takiej „polityce” nie dziwne, że gdy zwrócić się do księdza P. kierownik szkoły, by ogłosił w ko-

ściele datę rozpoczęcia kursu dla analfabetów, ksiądz tak się kwasił, tak krzywił i odmawiał, aż wreszcie komunikatu nie ogłosił, ponieważ „nie wypadało”.

Bez żadnego lęku i żadnych skrupułów natomiast ogłosił z ambony wiadomość, że rozpoczyna kopanie ziemniaków, i żeby ludzie przychodzili do niego kopać (odrabiać pańszczyznę — psia krewo!).

J. - ki  
pow. Wieluń

### O ASPOLECZNYCH KSIĘŻACH

Powiatowy Zarząd Z.S.Ch. w Legnicy pragnąc przyjąć z pomocą kobietom wiejskim, mającym drobne dzieci zorganizował w okresie żniw kilka dziecińców.

Jeden z dziecińców miał być zorganizowany w budynku szkolnym. Ponieważ budynek szkolny wymagał wewnątrz remontu Instruktor Kola Gospodyń Wiejskich zwrócił do księdza, ażeby zezwolił na czas remontu urządzić dziecińce w pustych pokojach niezamieszkałych (ksiądz mieszka w Legnicy) plebanii.

Ksiądz stwierdził, że sam w tej sprawie nie może decydować, musiałby zwrócić się o zezwolenie do księdza biskupa. Obecny przy rozmowie ksiądz wizytator z Wrocławia kategorycznie sprzeciwił się jednak jakimkolwiek na ten temat pertraktacjom.

Zapytuje, jak określić postawę tych dwóch księży, którzy co niedzielę głoszą słowa Chrystusa, a sami według nich nie postępują?

Bronisław Marcinek  
LegnicaRedaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.  
Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7. Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnątrz 23 i 78. Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPIŃSKIEJ. REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA. Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5

B-90777

STANISŁAW ORZEŁ

## WIEŚ - BUDZI SIĘ!

Odgrodzona od świata „bielonymi płotami”, zamglona oparami domowego wyrobu bimbru z czasów okupacji, wieś budzi się do nowego życia — težynny fizycznej i moralnej. Sport wszedł do wsi szeroko otwartymi wrotami. Powitała go młodzież nieśmiało, starsi drwinami, zaś niedział kibice miasteczki — złośliwym uśmiechem i dowiepami.

...Bo i gdzie... kto to widział... Chłop do pług stworzony, do cepów, a tu nagle sportu mu się zachciało! Kto dawniej o tym myślał, komu się chciało takimi rzeczami zajmować.

Niedziela — wiadomo: we wsi granie ze składkowych pieniędzy się odbywało. Wódka musiała być ze sprzedanej po kryjomu ćwierci owczego żyta, a że nożem ten, czy ów po żebrach dostał — toć to junactwem i ich chłopską odwagą było. Piłka nożna czy biegi uchodziły w samej wsi za dziwactwo, wariatwo prawie. Nie było na to czasu — był śmiech i wstyd fałszywy.

Aż nagle wieś się przebudziła! Soda i Gomora!

Wydeptane nieużytki pastwisk gminnych grodzić poczęto. Zasypano doły, rozrzucono kretowiska, ustawiono „jakiesi” bramki. Rozpoczęła się gra w piłkę nożną — w przedwieczera, w dni wolniejsze od pracy, całe popołudnia w niedziele czy święta.

Wszystko odbywało się prawidłowo. Wąsate dryblasz kopali zwyciężcie, częściej co prawda w ziemię, w kostki kolegów a rzadziej w piłkę, ale szło co raz lepiej. Stateczni gospodarze, zapominając o swojej powadze „ryczeli” razem z gromadą dzieci:

— Pietrek, nie daj się! Wal! Wal gola! Gola! Gola!

Bywało, że Pietrek zamiast gola walił Michała i już nie w kostkę a pięścią w oko. Jednak każdy następny mecz gromadził tłumy i był co raz lepszy. Najgorszym było tylko to, że zawodnicy, ojciec dzieciom i mąż żonie — za rozwalone buty, czy pęknięte świętanne spodnie dostawali w domu „gola” walcami od niewyrozumiałej połowicy. Od tego się zaczęło. Potem przyszły buty, koszulki sportowe, spodenki, a potem zaprosili tych z Wólki, aby się „spróbować”. „I szedł był, i z miasta przyszli — i wkroczył do wsi sport.

W blaskach przedwieczernego słońca prostują się zgarbione pracą ramiona, przeją nogi w wyciągniętym biegu: — to wieś wygrywa swój bieg do sportu, do zdrowia. To już nie wstyd, nie żart — a entuzjazm.

Warto z nią biec naprzecią przez powiat tarnobrzeński, rozciądy w wiodach Wisły i Sanu. Biedota folwarczna Mokrzyżowa, Miechocina, Zakrzowa, nędza piasków karmiona — Żupawa. Stale. Jęziorko, bagnami pociegie wsie nadsaneckie — razem 70 ludowych zespołów ruszyło do biegu na swoich boiskach. Dzięki Woj. Radzie Sportu Wiejskiego sprzęt jest dość w powiecie, ale nie wszędzie są jeszcze ludzie, którzy mogliby pouczyć, pokazać młodym wiejskim sportowcom, jak zdrowie rozwijać a nie niszczyć na boiskach, których powiat posiada aż: 64 dużych, 64 siatkowych i 16 koszykowych. 52 zespoły wiejskie piłki nożnej rozgrywają mecze między sobą. I miasto z wiślanego brzegu — Tarnobrzeg — otwiera bramy swojego stadionu dla gości ze wsi lub wysła swoją narazie „C” klasową drużynę na wieś. Wąsaci widzowie stawiają zakłady, zachęcają do wysiłku... bo to i wstyd przegrać... i przeciw chłopki „nie dajta się na drugi roz... Tak! Nie dajta się!

I znika kłamstwo, że młodzież wiejska zaczęła jest do sportu. Dowiody tego mistrzostwa Polski w biegu na przelaz, które odbyły się w Białymstoku w dniu 9 października b. r. Wicemistrzynią Polski w biegu na przelaz na 2.500 m. została Jajkiewicz Maria z Ludowego Zespołu Sportowego. A jej koleżanka Styczyńska Helena zajęła III miejsce. Syn małorolnego chłopca z Chmielowa również z powiatu tarnobrzeńskiego Jan Pyska zajęł 4-te miejsce w biegu na 7.000 m. ulegając mistrzowi Polski Kiełkarskiemu, Krausikowi, oraz Biernatowi.

Biegną młodzi! A wieś patrzy, dziwuje się, jest dumna!

Stanisław Orzeł

### SPROSTOWANIE

Do Nr 45 wkradło się kilka błędów korektorskich: 1) pod artykułem „Wskazania na wczoraj, dziś i jutro” podpisano błędnie M. Ka... 2) w tymże artykule podtytuł w szpalcie 4-ej winien brzmieć „26 września 1917 r.”, 3) imię autora „O latach i barwach” brzmiał Juliusz, nie zaś Julian Fucznik.

WŁADYSŁAW LESZCZYŃSKI

## CZESKIE FILMY

W ramach tygodnia filmów czechosłowackich, przypadającego na koniec września, ujrzymy świeżą i najświeższą produkcję sąsiedniej kinematografii. Zareprezentowano dwie więc pozycje: „Milcząca barykada”, „Wilcze doły”, „Jan Rohacz z Dube”, „Sumienie”, „Żelazny dziadek”, „Awantura na wsi”, „Pan Nowak”, „500 cmm”, i „Oddział Z-8”.

Dwa pierwsze filmy dotyczą okresu okupacji, trzeci ukazuje fragment historii piętnastowiecznych Czech, czwarty jest mieszczańskim dramatem psychologicznym, a pozostałych pięć kipi żywą współczesną problematyką.

I ta piątka (w tym trzy komedie), stanowi najcenniejszą pozycję festiwalu, właśnie ze względu na swoją żywotną, ogólnie interesującą tematykę.

Spółeczna tematyka filmowa Czech do 48 roku mogłaby się powołać tylko na dwie pozycje: „Syrena” i „Sepy”. Jest to oczywiście bardzo niewiele przy wcale obfitej produkcji czechosłowackiej, realizującej przez 30 filmów rocznie. Dopiero przełom lutowy wywołał zmianę w stosunkach, panujących w upaństwowionej kinematografii.

Przemiany polityczne szczęśliwie zapoczątkowały aktywizację filmu społecznego w Czechosłowacji.

Komedia Bożywoja Zemana „Pan Nowak” godzi w ograniczonych, zbiu rokratyzowanych urzędników, którzy, żywiąc batwochwalczą chęć dla rzekomo wysoko intelektualnych walorów biurowej roboty — nie dostrzegają twórczej i myślanej pracy robotnika w fabryce. Po przewrocie lutowym w 48 roku przemysł czechosłowacki zaczął cierpieć na olbrzymi niedostatek siły roboczej, która natomiast nieproduktywnie zalegała biura, urzędy i instytucje. Rząd rzucił hasło translokacji nadmiaru elementu urzędniczego do fabryk i zakładów pracy. Hasło to zaskożyło dużą część konserwatywnej inteligencji, upatrującej w pracy fizycznej degradację i wyjąłowanie umysłowe. Film umiejętnie pokazuje, jak rozbijają się uprzedzenia i nawyki myślowe urzędników w zetknięciu z pracą w fabryce, jak

wytwarza się współzycie z robotnikami, jak z czasem niesforny i nieporadny element urzędniczy zajmuje pozytywne miejsce w procesie produkcyjnym i jak kształtuje w sobie nową socjalistyczną świadomość.

Doskonała komediowo „Awantura na wsi” obrazuje na przykładzie toczącego się na wsi sporu o kupno pralni mechanicznej — rodzaje się socjalistyczne, czynnik przebudowy wsi w kierunku nowoczesnej, postępowej gospodarki. Film, szczególnie nadający się na wieś, niewątpliwie nawadza do niej w ramach akcji kinu objazdowego. Filmowi temu należy zarzucić zbyt słabe podkreślenie klasowego rozwarstwienia wsi.

„500 cmm” i „Oddział Z-8” przenoszą nas na teren fabryki, w środowisko robotnicze. Pierwszy rekonstruuje historię współzawodnictwa fabryk motocyklowych, pokazuje zapal i twórczą zgodną współpracę ekipy technicznej — inżynierskiej i robotniczej. Wymieniony film jest artystycznie najsłabszy z pięciu wyróżnionych, na co wpłynęła może reżyseria Fricza, autora nieszczęsnego, mocno bzdurnego „Pocałunku na stadionie”.

„Oddział Z-8” opowiada o walce z sabotażem i wrogiem klasowym na terenie fabryki.

„Żelazny dziadek”, z b. dobrym aktorem Jarosławem Marwanem w tytułowej roli, ukazuje w sposób bardzo sympatyczny i wzruszający przywiązanie starego maszynisty do swego warsztatu. Zagrożony emeryturą przełamuje piętrzące się przeszkody i wraca do ulubionej pracy. Wielki talent Marwana potwierdza się jeszcze raz w tym filmie.

Omówione filmy w zadawalający często wzorowy sposób odpowiadają zamówieniu na „film społeczny” o tematyce współczesnej.

Z pozostałych „Milcząca barykada”, film niewątpliwie o dużych ambicjach, próbując przedstawić majowe dni powstania praskiego 45 roku — raczej zawodzi. Wina ponosi scenariusz, opierający się na kilku opowiadaniach Drdy, w scenarzu-

stwu mało powiązanych ze sobą. Akcja filmu wskutek tego jest rozbita i fragmentaryczna. W filmie gra Polka, Barbara Drapińska, bohaterka „Ostatniego etapu” — rolę studentki polskiej z oświecimeńskiego konfliktu. Waga i znaczenie jej udziału i postaci w powstaniu (gdzie urasta przecież do miary symbolu) wydają się nieco in plus przerysowane.

„Wilcze doły”, film o powstaniu słowackim, obok dużych zalet — jak pełne rozmachu ujęcie kilkutygodniowej walki zbrojnej z hitlerowskim okupantem i znakomita fotografia — posiada i poważne błędy. Opowiada o zbyt wielu rzeczach, jest nieco przydługi i nużący oraz grzeszy nieuzasadnionym artystycznym nagromadzeniem okropności, które rażą widza. A przecież takie filmy, jak „Ostatni etap” czy „Rzym miasto otwarte”, pokazały, że dla przedstawienia okrucieństwa Niemców niekoniecznie trzeba robić z filmu makabrę.

„Jan Rohacz z Dube”, historyczny film kolorowy z okresu wojen husyckich, podobnie jak „Milcząca barykada”, mocno akcentuje momenty przyjaźni polsko - czechosłowackiej. Posiada znakomite sceny batalistyczne; ujmuje trafnie wybranym fragmentem historii Czech. Walki z penetracją niemiecką, popieraną przez magnaterię i wyższy kler, — to wszystko — nie należy do filmu wspomaganego przez polskich

duchów i żywotnym. „Jan Rohacz” jest pierwszym kolorowym filmem czechosłowackim, od samego startu o dużych walorach barwy.

Ostatni film „Sumienie”, reprezentujący nienależną wartość aktorskie i reżyserskie, utrzymany jest wyraźnie w konwencjach mieszczańskich. Wytknęła to surowo kinematografii czechosłowackiej krytyka filmowa.

Festiwal filmów czechosłowackich, że kinematografia naszego sąsiada i sprzymierzeńca znajduje się na dobrej, socjalistycznej drodze.

Władysław Leszczyński

## DZISIAJ INACZEJ...

Siedzę na ławie przed domem. Jest pora obiadowa, więc trzeba chwilę odpocząć. Droga idzie Stach Góra odśnieżenie ubrany, cnot dzień jest powszedni. Podchodzi do mnie — uśmiechnięty. Trochę skonfuszony głosem prosi, abym wydał mu zaświadczenie o ilości posiadanej przez jego ojca ziemi. Zaciekało mnie to i pytam, do czego mi takie zaświadczenie potrzebne. — Odpowiada, że wyjeżdża razem z Grudniem Zygmuntem i Głancem Mańkiem do Szkoły Budowlanej. Kiedy to usłyszałem, pytam na jak długo i ile miesięcznie będą płacili za pobyt w szkole (naukę i wyżywienie), ciekawi mnie to, bo wiem, że rodzice wszystkich trzech, ze względu na swe małe gospodarstwa nie mogą sobie pozwolić na wysoką opłatę. Stach uśmiechnął się wyrozumiale, powiedział:

Szkola ma trwać dwa lata, a później jak będzie mi dobrze szło — to jeszcze dwa lata liceum. A co do opłaty to wszystko na koszt Państwa, bo wysłał nas Komenda Powiatowa „Służby Polce” w Radomsku. Nie mówiąc i nie pytając go o nic więcej poszedłem z nim do mieszkania i wypisałem kartkę następującej treści: „Zaświadczając, że ob. Góra Jan zam. w Ulesiu posiada 3 ha ziemi ornej wraz z łąką i pastwiskiem. Na utrzymaniu ma 5 osób. Powyższe zaświadczenie wydaje się celem przedłożenia władzom Szkoły Budowlanej w Mławie”. Położyłem pieczęć, i wręczając mu zaświadczenie powiedziałam — „chłopie nie zawiedź zaufania, jakim cię darzą władze powiatowe „S.P.” no i my ze wsi”.

— „Będzie się starał jak do tej pory w organizacji”.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, wejrzeliśmy w oczy, i odszedł. Na piersi błysnął mu tylko znaczek Z.M.P. Widać było z oczu, że będzie się dobrze uczył w szkole, bo życie dotychczas miało twarde.

Zastanowiłem się chwilę nad chłopcami, którzy odchodzą dziś do szkoły. Z Ulesia uczy się ich już nie mała gromada.

Stach Siewek poszedł na ochotnika do oficerskiej szkoły, Grajów Heniek jest w szkole przemysłowej na 2-gim roku, w Kielcach w hucie „Ludwików”, Płatek Maniek gdzieś tam na Śląsku uczy się za górnik już drugi rok, Tadek Stepień, Wojdyło Stach, Smagów i inni w szkołach ogólnokształcących. Wszyscy oni uczyć się prawie darmo, a ci „przemysłowcy” nawet jeszcze zarabiają gotówkę. Dawni ich poprzednicy mieli jedno tylko wyjście — do dworu tymsowskiego na dniówki, albo na „bańdochy”. 13 lat temu i ja takim 17-letnim chłopcem byłem. Skończyłem „powszechniaka” i dalej ani rusz. Ale to nie tylko ja, bo wszyscy we wsi takimi samymi byli, bo trzeba było na jeden rok nauki sprzedać ostatnią krowę i to by nie starczyło. A dalej?

Cóż było robić! Zbieraliśmy się wieczorami na karty, czasem jak

grozili wpadł na wódkę, a co tygodnia trzeba było wywołać awanturę, pobić kogoś okna, kości porachować — jak się to mówiło itp. Dzisiaj inaczej!

Historia toczy się naprzód i już się nie powtórzy. My którzyśmy w koszmarnym okresie swoje lata młodości spędzali, dla których rozwój umysłu poprzez naukę był zamknięty, winniśmy dziś wyciągnąć wnioski i naukę na przyszłość. Jeszcze często słyszymy narzekania. — Narzekania może nawet nie są bez powodów to jest fakt, ale czy zastanawia się każdy z nas, jaki kolosalny skok jest zrobiony naprzód? — chyba nie, bo jeżeli byśmy analizowali osiągnięcia nasze, to byłby chwilowe niedociągnięcia cier-

pliwie znosili, a usilnie pracowali nad ich usunięciem.

Dziś nie ma już takich warunków, gdzie leży źródło tego, że nasi Stachowie, Mańkowie i inni mogą się spokojnie uczyć w szkole na przyszłych budowniczych Polski. Odpowiedź jest jedna i prosta. Źródłem osiągnięć naszej i wszystkich wsi i całej Polski jest to, że kraj nasz wyzwoliła Armia Czerwona i to, że rozwija się przyjaźń radziecko - polską, którą winniśmy systematycznie pogłębiać i utrzymywać, bo to jest fundament naszego dalszego marszu naprzód w rozwoju gospodarczym i kulturalnym, a pamiętajmy, że październik to miesiąc przyjaźni polsko - radzieckiej.

Marian Nowiński

## KOBIETY — BOHATERAMI PRACY W ZWIĄZKU RADZIECKIM

